NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 2. czerwca 1917. Nr. 22.

Cesarz Karol u „krakowskich dzieci".






1. Wręczenie Monarsze pamiątkowego sztyletu przez komendanta 13 p. p. podpułkownika Poczyńskiego. 2. Monarcha w rozmowie z komendantem kompanii szturmowej, porucznikiem Adlerem. 3. Monarcha zaszczyca rozmową oficerów i żołnierzy pułku. 4. Dekorowanie medalami waleczności szeregowców kompanii szturmowej przez komendanta pułku.

Treść numeru: Zgon byłego prezydenta miasta Krakowa. — Rosya na przełomie — Z życia narodowego we wschodniej Galicyi. — Zgon powstańca. — Z życia „krakowskich dzieci" na froncie. — Z frontów bojowych — Ofenzywa włoska i t. d.

Nowa forma subskrypcyi na VI. pożyczkę wojenną.

(Komunikat.)

C. k. austr. wojsk. Fundusz wdów i sierót, pozostający pod Najwyższym Protektoratem Jego Ces. i Król. Apost. Mości cesarza Karola I. i Jej Ces. i Król. Apostolskiej Mości cesarzowej Zyty — wprowadził celem przyczynienia się do niebywale świetnego wyniku VI-tej pożyczki wojennej nową formę subskrypcyi — przez ubezpieczenie. Zasady tej instytucyi są następujące:

Ubezpieczyć można każdą osobę (także żołnierzy w polu) w wieku od 1 roku do 55 lat, bez badania lekarskiego na 500—4000 K w obligacyach VI tej pożyczki wojennej. Premia wynosi przy 15 letniem ubezpieczeniu na każdy 1000 K rocznie 58·— K, półrocznie 29 K 58 hal., zaś przy 20-letniem ubezpieczeniu rocznie 44·— K, półrocznie 22 K 44 hal. Odsetki od pożyczki wojennej przypadają subskrybującemu i jeżeli przeznacza je na zmniejszenie premii, natenczas płaci tylko: za każdy 1000 K przy 15-letniem ubezpieczeniu rocznie 49 K, półrocznie 25 K, za każdy 1000 K, przy 20 letniem ubezpieczeniu rocznie 35 K, półrocznie 17 85 K. W ten sposób może każdy kosztem 17 K 85 hal. subskrybować 1000 K VI-tej pożyczki wojennej. Subskrybujący pożyczkę wojenną przez ubezpieczenie otrzymuje w razie śmierci ubezpieczonego lub po upływie czasokresu ubezpieczenia subskrybowane walory pożyczki wojennej.

Jeżeli subskrybujący zapłacił jedną, czy więcej



Rosya na przełomie: Prezydyum Rady robotniczo-żołnierskiej. 1. Cereteli. 2. Plechanow. 3 Czheidze. 4. Skobielew.

rat premiowych na pożyczkę wojenną przez ubezpieczenie, później jednak z jakiegokolwiek powodu przestaje płacić premię — nie przepadają wpłacone raty, lecz subskrybujący otrzymują od Towarzystwa stosunkową równowartość w pożyczce wojennej lub w gotówce.

Ta nader korzystna forma subskrypcyi nadaje się doskonale do masowego rozpowszechnienia wśród PP. Urzędników, mniejszych kupców, rzemieślników i t. d. Nie ulega wątpliwości, że bez wyjątku każdy obywatel zechce na rzecz dobra publicznego ofiarować kwotę 17 K 85 h, względnie 9 K, stanowiącą półroczną premię za subskrypcyę ubezpieczenia na 1000 K, względnie 500 K, zwłaszcza jeżeli ta ofiara jest także materyalnie dla niego korzystna.

Prócz premii nie opłaca się żadnych dodatków, ani należytości ubocznych. Wszelkie korzyści, jakie subskrypcya pożyczki wojennej daje subskrybującym, zapewnione są też tym, którzy korzystają z instytucyi subskrypcyi w formie ubezpieczenia. Natomiast ogólna suma wpłat na pożyczkę w formie ubezpieczenia jest dużo niższa, aniżeli cena kursu pożyczki, która wynosi za 1000 K 920 K, podczas gdy premia od 1000 K przez 20 lat po 35 K daje łącznie tylko 700 K. A przytem subskrybujący przez ubezpieczenie nie musi całej kwoty zapłacić naraz, lecz płaci ją w drobnych półrocznych ratach, a na wypadek śmierci ubezpieczonego, nawet po pierwszej racie, otrzymuje pełną subskrybowaną pożyczkę wojenną, nie płacąc w dalszym ciągu żadnej premii.

Kto chce więc spełnić swój obowiązek, przytem oszczędności swe dobrze i pewnie umieścić, a swych najbliższych zaopatrzyć — niechaj natychmiast skorzysta z instytucyi ubezpieczenia w pożyczce wojennej. — Zgłoszenia przyjmuje się we wszystkich c. k. Starostwach, c. k. Urzędach podatkowych, Urzędach gminnych i parafialnych, jakoteż w Filii krajowej c. k. austr. wojsk. Funduszu wdów i sierót (dział ubezpieczeń) w Krakowie, ul. Floryańska 35, która też na żądanie udziela wyjaśnień i przesyła druki.



Rosya na przełomie: Gwardyjski pułk grenadyerów składa przysięgę rewolucyjnemu rządowi.

Cesarz Karol u „krakowskich dzieci".

(Do illustracyi tytułowej).

Cesarz Karol w czasie swej objażdżki po wschodnim froncie, odwiedził także i krakowski pułk piechoty nr. 13., który w czasie trzyletnich zmagań z nieprzyjacielem zdobył sobie niespożytą sławę i stał się prawdziwym postrachem wroga. Krakowska „trzynastka" znaną jest szeroko i daleko ze swego męstwa i swej prawdziwie kawalerskiej fantazyi, której na każdym kroku daje dowody.

Monarcha, który najdokładniej poinformowany jest o wszystkiem, co odnosi się do armii, zatrzymał się dłuższy czas w kwaterze pułkowej, by w ten sposób wyrazić swe uznanie dzielnym Krakowiakom, zaszczycił rozmową wielu oficerów i żołnierzy i przyjął z rąk komendanta pułku, pułkownika Poczyńskiego, pamiątkowy sztylet.

Cesarza Karola, który wśród wojsk wszystkich narodowości, wchodzących w skład armii austro-węgierskiej, zjednał sobie niekłamaną sympatyę i prawdziwą popularność, jakiej każdy władca może mu pozazdrościć, przyjmowany był przez „krakowskie dzieci" owacyjnie.

Pamiątką pobytu Monarchy w kwaterze „trzynastki" będzie szereg zdjęć sporządzonych na miejscu przez fotografa amatora. Część ich, nadesłaną nam w ostatnich czasach, reprodukujemy w niniejszym numerze.

Zgon byłego prezydenta miasta Krakowa.

W tych dniach ubyła naszemu miastu postać ściśle związana z jego dziejami ostatnich lat. Po długiej chorobie zmarł zasłużony były prezydent Krakowa, ś. p. Józef Friedlein. Urodzony w Krakowie w roku 1831, tutaj ukończył gimnazyum św. Anny, poczem uczęszczał na tak zwaną filozofię t. j. pierwszy, przygotowawczy rok uniwersytetu. Po reorganizacyi Uniwersytetu Jagiellońskiego zapisał się na wydział filozoficzny i uczęszczał na oddział matematyczno-przyrodniczy w latach 1850—1853

W roku 1855, po śmierci ojca objął prowadzenie księgarni. W roku 1850 podczas wielkiego pożaru miasta, rodzina Friedleinów straciła cały majątek, drukarnię, introligatornię, bibliotekę, cenny zbiór rycin, map, różnych pamiątek historycznych polskich i tym podobnych.

W roku 1866 wybrany po raz pierwszy do Rady miasta Krakowa, pozostał jej członkiem aż do roku 1905. Pracował we wszystkich najważniejszych sekcyach i komisyach, jak restauracyi Sukiennic i wodociągowej; teatr miejski i wodociągi zbudowano pod jego rządami. Był referentem komisyi dla plan-



Rosya na przełomie: Posiedzenie Rady robotniczo-żołnierskiej w gmachu Dumy (w pałacu Taurydzkim).

tacyi i szczególną otaczał je troskliwością; w organizacyi straży pożarnej brał żywy udział i wypracował dla niej statuty i regulaminy. Praca gorliwa i pożyteczna dla gminy zjednało mu uznanie całej Rady; zdanie jego miało zawsze posłuch. W roku 1884 wybrano go po raz pierwszy wiceprezydentem miasta; po raz drugi w roku 1887. W roku 1893 i ponownie w 1899 Rada oddaje mu godność prezydenta. Zaszczytne to stanowisko z pożytkiem dla miasta zajmował do roku 1904, w którym mandat prezydenta złożył z powodu nadwątlonego zdrowia.

Jako prezydent odznaczał się niezmordowaną pilnością i pracowitością; dla obywatelstwa był zawsze przystępnym. Nie zabiegał o zaszczyty i odznaczenia; z długiej służby publicznej dla miasta wyniósł wdzięczność i uznanie współobywateli i silnie nadwyrężony własny majątek.

W życiu prywatnem oddawał się z zamiłowaniem historyi polskiej i numizmatyce, z nauk przyrodniczych, geologii i fizyografii ziem polskich. Uzupełnił jedyny w Polsce zbiór rycin, rozpoczęty przez ojca, do liczby 2000 i stworzył zbiór portretów królów polskich, znajdujący się obecnie w Warszawie. Piękne i pracowite, poświęcone miastu życie, przerwała nieubłagana śmierć.

Cześć pamięci zacnego Obywatela!



Rosya na przełomie: Uroczystość proklamowania nowego rządu w Tyflisie, w obecności przedstawicieli władz miejscowych i komendantów garnizonu.

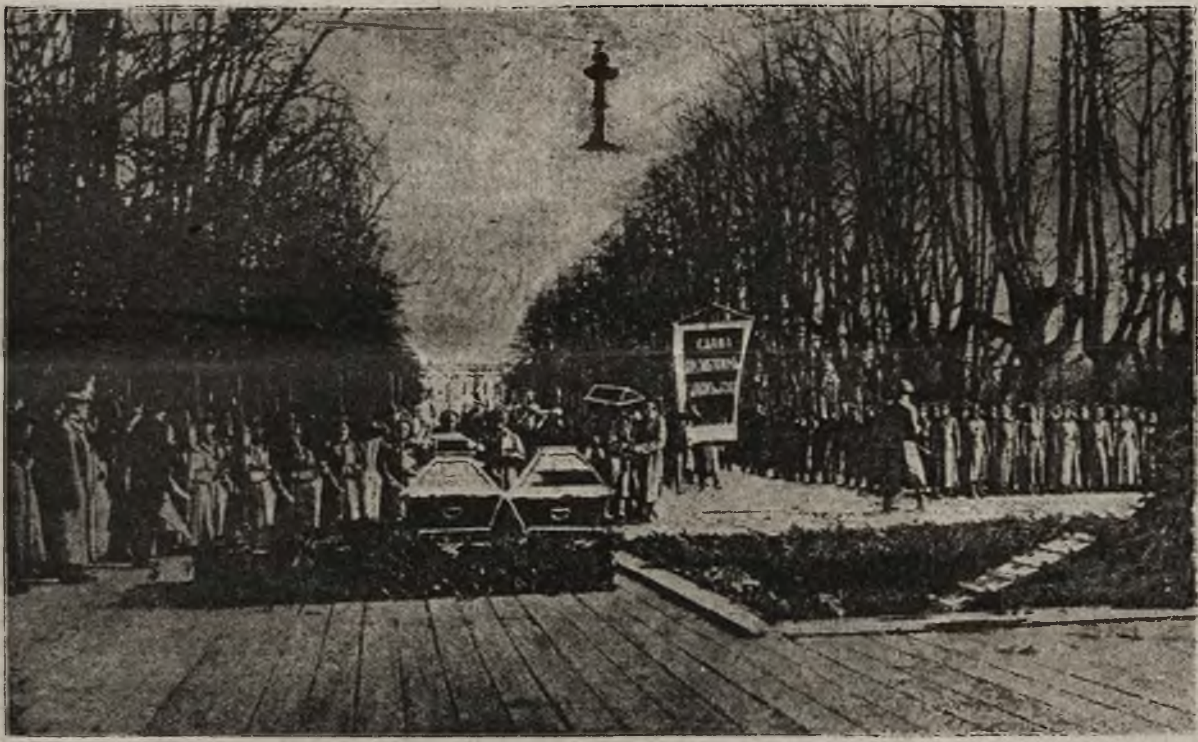
Rosya na przełomie.

Rosyjska rewolucya już po raz drugi usiłuje wyłonić z siebie określony kształt rządu. Po ustąpieniu ministra spraw zagranicznych Milukowa i ministra Guczkowa nastąpiła nowa konsolidacya rządu, oparta bardziej o radykalną Radę robotniczo-żołnierską. Zradykalizowany w ten sposób rząd rosyjski nie rozpłynął się bynajmniej w anarchii, jak można było przypuszczać, lecz przeciwnie wystąpił energicznie do walki z jej objawami. Nowy minister wojny, przywódca socyalistów Kierenskij, rozwinął od razu nadzwyczajną energię w poskramianiu anarchii wśród żołnierzy. „Nie służyłem wprawdzie w wojsku — powiedział przy pierwszem spotkaniu z delegatami armii — ale przywrócę najsurowszą karność w armii, gdyż tego wymaga dobro ojczyzny“.

Co do zagranicznej polityki rządu oświadczenia nowego ministra spraw zagranicznych Tereszczenki i ks. Lwowa nie pozostawiają wątpliwości, że pójdzie ona torem dotychczasowym w połączeniu z zachodniemi państwami.

Pierwszy rząd tymczasowy, reprezentujący w gabinecie, z wyjątkiem jedynego Kierenskiego, wyłącznie burżuazyę, musiał odejść po krótkim żywocie. Żywot ten wypełniony był przeważnie zmaganiem się z trudnościami, wytwarzanemi przez wystąpienia Rady robotniczo-żołnierskiej, znajdującej się w całości pod wpływami socyalistów. Nowy więc rząd wystąpił na widownię pod znakiem zgody, przynajmniej teoretycznej, obu kierunków, dotychczas się zwalczających. Aby ocenić, o ile pozycya rządu przez to została wzmocniona, należy poznać społeczno rewolucyjną wagę tych czynników, które się obecnie do niego przyłączyły.

O tem, żeby Rada robotniczo żołnierska, jako całość, przez wstąpienie kilku jej członków do gabinetu, przestała istnieć, nie było mowy w żadnem z doniesień petersburskich. Tem samem organizacya ta zachowała nadal swoją rolę rządu pobocznego, z tą różnicą, że gdy przedtem zwalczała kroki rządu, teraz będzie je prawdopodobnie wspierać; czy jednak w każdym wypadku użyje w tym celu całego swojego autorytetu — to pozostaje conajmniej kwestyą



Rosya na przełomie: Pogrzeb ofiar rewolucyi w Carskiem Siole.



Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie: „Trzynastacy“ przy pracy w okopach.



Zgon byłego prezydenta miasta Krakowa: S. p. Józef Friedlein.

otwartą. W ten sposób niebezpieczeństwo istnienia rodzaju drugiego rządu, kontrolującego niejako rząd oficyalny, nie zostało zażegnane. A nie wiadomo, czy praktyka nie okaże, że kontrola ta przez dokonaną „konsolidacyę“ gabinetu nie została jeszcze wzmocniona, czy dla tych pięciu socyalistycznych członków gabinetu Rada robotniczo-żołnierska nie pozostanie instancyą bardziej decydującą, niż rząd, w którego skład weszli. Jest to jednak kwestya przyszłości; na razie działalność obu czynników została zharmonizowana.

Tych pięciu socyalistów — Skobielew, Czernow, Pieszechonow, Kierenskij i Ceretelli — jakkolwiek do różnych odłamów socyalizmu rosyjskiego należą, mają wszyscy jedną wspólną cechę. Oto reprezentują oni, każdy w swojem stronnictwie skrzydło prawe pod względem taktycznym, są wyznawcami raczej reform społecznych niż rewolucyi socyalnej. Są to bądź starzy już parlamentarzyści, posłowie do Dumy — jak demokraci Skobielew i Ceretelli, oraz Kierenskij, bądź publicyści — jak Czernow Wiktor, uważany w partyi socyalistów-rewolucyonistów za znawcę kwestyi agrarnej i Pieszechonow, teoretyk stronnictwa ludowo-socyalistycznego — o typie raczej teoretyków naukowych partyjnych, niż bojowych agitatorów. Byli oni za udziałem w rewolucyi mas ludowych tylko do tego punktu, dopóki ona obalała ustrój despotyczny „starego ładu“; po upadku caratu zmiany socyalnej natury gotowi są oni przeprowadzić na drodze reform, a nie przewrotu. Niewątpliwie, jest to dla gabinetu zdobycz, zwłaszcza pod względem intelektualnym, poważna. Wraz z nimi zgłoszą akces do rządu żywioły rozważniejsze z odpowiednich stronnictw, uzyska też znaczne wzmocnienie rządowy obóz publicystyczny. Dotąd popierała rząd tylko prasa burżuazyjna, od „Birżewych Wiedomostiej“ i „Rieczy“, aż do „Nowego Wremieni“ włącznie; obecnie uzyska on poparcie kilkunastu organów socyalistycznych. Lecz ani te rozważne żywioły, ani publicystyka nie reprezentują większości w obozie rosyjskich stronnictw socyalistycznych. W Rosyi dzisiejszej, znajdującej się w stanie powstawania i tworzenia się nowego ustroju społecznego, bardziej niż gdziekolwiekindziej większość, zwłaszcza wśród mas ludowych, nie znajduje wyrazu w zorganizowanej i uznanej opinii publicznej. W dzisiejszej Rosyi czynniki, znajdujące się poza zorganizowaną jawnie opinią publiczną i poza zorganizowanemi jawnie i uznanemi stronnictwami, są z natury rzeczy potężniejsze, niż gdziekolwiek indziej.



Rosya na przełomie: Poseł do Dumy Fiłonienko przemawia do żołnierzy na froncie podczas przysięgi tymczasowemu rządowi.

Te czynniki właśnie i żywioły, oczywiście w nowym rządzie nie reprezentowane, wywierały z zewnątrz nacisk na radę robotniczo-żołnierską, zmuszając ją do wystąpień, paraliżujących kroki dawnego rządu tymczasowego. Na czele jednej ich części stoi namiętny i ruchliwy agitator Lenin, gwałtowny i nie liczący się z niczem w swych wystąpieniach. „Bolszewicy“, którym on przywodzi, a którzy obecnie stali się rewolucyjno-komunistycznym odłamem socyal demokracyi rosyjskiej, tworzą partyę, mogącą stać się ośrodkiem dalszego ruchu socyalno-rewolucyjnego. Rozporządzają oni nawet dwoma codziennymi organami, jednym w Petersburgu, drugim w Moskwie; a należy pamiętać, że właśnie „bolszewicy“ wywołali w roku 1905 robotnicze powstanie grudniowe w Moskwie i walki na barykadach. Obok nich stoją liczni malkontenci ze wszystkich partyj socyalistyczno-rewolucyjnych, niezadowoleni z taktyki swych stronnictw i z dotychczasowych rezultatów przewrotu, i gotowi do udziału w dalszych rozruchach. Należą tu przedewszystkiem socyaliści-rewolucyoniści, których dziełem były wszystkie prawie zamachy w Rosyi lat ubiegłych, a których teorya o odrębności rozwoju ekonomicznego Rosyi, wypływającego z odrębności jej struktury społecznej, prowadziła w praktyce zawsze do wywoływania chłopskich rozruchów agrarnych, najtrudniejszych do ujęcia w karby i uspokojenia.

Przeciwko tym wszystkim żywiołom, dążącym do dalszego przewrotu, wystąpił obecnie z całą energią nowy rząd, który w swojej deklaracyi oświadczył też uroczyście, że „w interesie dobra ojczyzny chwyci się jaknajenergiczniejszych zarządzeń przeciwko wszelkiej próbie kontrrewolucyjnej, tudzież przeciwko wszelkim działaniom anarchicznym, bezprawnym i gwałtownym, które dezorganizują kraj i przygotowują grunt dla kontrrewolucyi“. Oświadczenie to, jak wogóle cała deklaracya, w której cztery piąte punktów dotyczą zorganizowania spraw wewnętrzno-ustrojowych, złożone zostało widocznie w tem przekonaniu, że dla nowego rządu rosyjskiego „front wewnętrzny“, jest ważniejszy od zewnętrznego.





Nowa ofenzywa włoska:

Ruiny zniszczonego przez Włochów klasztoru na Monte Santo pod Gorycyą.

Schroniska wojsk austryackich na zboczu skalnem południowego frontu

Konrad Henryczewski.

MATKA.

Polskim matkom.

We framudze małego, oszklonego okienka, za białemi, jak śnieg firaneczkami, siedziała staruszka.

Jej biedne, trudami wieku skołatane ciało otulała czarna, jak kir, smutna, jak ból, powłóczysta suknia.

Czarne, głęboko osadzone oczy patrzały martwo w siną dal, jakby widziały tam Śmierć lub Mękę. Czasami roniły wielkie, jak krople dżdżu, błyszczące, jak drogi kamień, ciężkie perły łez, które wyżłobionem korytem płynęły po tej woskowej, bolesnej twarzy, padały na zapadnięte, wyschłe piersi i drgały tam, jakby poruszane ciężkiemi westchnieniami, męczącemi te znużone piersi, tłoczącemi tę biedną duszę. Jak czarny jakiś krzew, ciemniała na białem tle jej wychudła twarz. Miliony bruzd i zmarszczek, niby nerwy, okryły ją, dodały boleści temu obliczu, dodały potęgi i majestatu nadziemskiego.

Żółte, wychudzone ramiona opadły bezwładnie na kolana, konwulsyjnie zaciskając mokrą od łez chustkę.

Koronę cierniową włożyło jej życie na głowę, nie dało zaznać błogiego spokoju i cichej radości, wypoliczkowało to stare, zmarszczone oblicze, a szczęście na zawsze zamknęło podwoje, szydząc i naigrawając się z niemej boleści, kpiąc z męki, śmiejąc się z łez. Kolce ziemskiego żywota pokaleczyły jej duszę, rozdarły serce, okryły je jedną wielką, krwawiącą, niezgojoną raną. Nieubłagana konieczność zdeptała uczucie, zdeptała to, co jest najdroższego, najświętszego, zdeptała — miłość.

Wydarto jej syna, pozbawiono tego jedynego promyka, który jej rozświetlał szarą starość, pozbawiono tego filaru, który miał podtrzymywać swymi barkami jej przyszłość. Nie ostało się jej nic, została sama, biedna, wynędzniała staruszka. Zostawili — wspomnienie. I płynęło to wspomnienie jaśniejącą strugą, która pieniła swe fale chwilami radości, gdy z daleka otrzymywała od syna zadatek wdzięczności — różowy świstek. Wtedy wylewał się zdrój szczęścia szeroko, wtedy ukazywały się pączki spokoju, ale to trwało krótko, bardzo krótko. Wszystko rozpływało się w nicość, zostawało zasię, to ciężkie, krwawe — wspomnienie. To było wszystko.

Teraz wpatrzyła się w siną dal.

Ból rył się na jej obliczu coraz to nowemi piętnami, czarniał szarą plamą, szarymi kręgami.

Oczyma boleści wpatrzyła się we wspomnienie.

To było jej jedyne, obecne zajęcie, tego się dorobiła po prawie wiekowem życiu, ale to jej przynosiło chwilowe szczęścia i... lubiła je.

W szarej mgle wieczoru widziała dawne lata.

Widziała swego ukochanego syna, to jedyne dziecię, które kochała całą istotą, całem swem sercem i duszą, widziała je błyszczące radością, promieniejące wesołością. Było to dziecię dla niej całą przyszłością, całem zapewnieniem bytu na starość, było — wszystkiem. Za nie byłaby oddała wszystko, co było jej, co było jej własnością — bo ten ukochany Janek zajmował jej całą duszę. Zapatrzona w niego, nie widziała nic, prócz jego ciemnych oczu, aksamitnych brwi, kędziorków złotych, bujnie spadających na kształtną kibić. A on się odpłacał jej stokrotnie za tę słodycz pocałunku, którym wypijała jego oczy, za ten macierzyński uścisk namiętnego zaślepienia, za to poświęcenie dla jego szczęścia, bo czuł, że to jest jego powinnością, że tem uspokoi ten niepokój wzroku, jaki matkę zdradzał ustawicznie.

I kochali się.

I wiła się ta srebrna i złota nić dwojga onych istot, jak wiją się nitki kłębka.

Aż nagle stanęło przy tem wrzeciądzu jakieś widmo straszliwe, krwawe, na rozszalałym rumaku, z pochodnią gorejącą w jednej, ze śmiercionośnym mieczem w drugiej ręce. I sypnęło skry i rzuciło ziarno niezgody między chrześcijańskie narody i zabłysła wielka pożoga i krwawa łuna rozświetliła czarny horyzont i wzniosły się dymy palonych wiosek, a wicher roznosił woń spalenizny i kurzawę walących się miast i słońce skryło się za firmamentem chmur, jakby zawstydzone gigantomanią narodów. A krok w krok za nią podążała znikoma, wietrzna śmierć. I szeroko rozrzuciła swe ziarno wśród ludów Europy i wydarła tysiącom matek — synów, tysiącom żon — mężów, tysiącom dzieci — ojców, i rozrzuciła po całej ziemi płonące żagwie domowych ognisk i zostawiła wdowy i sieroty, sieroty i wdowy...

Skończyła się pierwsza część ich życia, zgasły ostatnie blaski skwarnego lata i nastała szara, pochmurna, mglista jesień. Owoce ich życia zdawały się dojrzeć — on poszedł się bić, poszedł lać bratnią krew — ona została sama, samotna. To były grona dojrzałych znojów, czasem błysło słońce, to dawne słońce wiosny i lata, a potem... Potem gasło i padał gęsty, puszysty, biały śnieg. I otulił ich dusze gęstą zasłoną wspomnienia i zostało się nic. — To było wszystko.

On poszedł się bić — ona została sama.

On się krwawił — ona schodziła cierniowymi stopniami do grobu.

On umierał — ona żyła nadzieją.

Jego dusza uleciała do Boga — a jej się ciągle zdawało, że wróci, że wróci jej drogi, kochany Janek i nastaną znowu te słoneczne dni... te, co były, co promieniały wiecznie w pamięci.

I rosła nadzieja.

Rosła ufność w jego powrót, w dobroć Boga, moc miłości, żar namiętności.

Codzień przychodziły różowe zwiastuny pogody, przynoszone przez listonosza, gdzieś z dali, gdzieś z wiru bitew, zawieruchy wojennej, szczęku pałaszy, chrzęstu bagnetów i bzykania kul.

I rosła nadzieja.

Ciągle się jej zdawało, że lada dzień wróci, że ją po dawnemu uściśnie, że ona go przytuli do swej wychudzonej piersi.

Ale z czasem kartki przychodziły coraz rzadziej, rzadziej i rzadziej, aż jej Janek zamilkł całkowicie, a biednej matce grały ostatnimi akordy jego pożegnalne słowa. Lecz się łudziła. Może jutro, a jutro, może pojutrze i tak z każdym dniem myślała, że przybędzie... jutro.

A Janek milczał.

Czasem przychodziły jej myśli okropne, że może... zginął, może ranny, może chory, a wtedy oczy zwracały się na ziemię w straszliwem przerażeniu i głos marł na ustach.

Aż przyszedł kres. Przyszło przesilenie.

Raz w nocy, we śnie, ujrzała cmentarz, a na nim taką kamienną, wielką płytę, co mroziła swym chłodem, co zabijała nagą prawdą. I siedziały na niej kruki i krakały, siedziały wrony i wtórowały im. A w tym chaosie jęków grobowych usłyszała wyraźnie, o! tak, wyraźnie, głos kochanego Janka i w korowodzie zmarłych ujrzała jego z kulą w piersiach, z boleścią na twarzy.

Jęk rozerwał jej piersi, spazmatyczny płacz wykrzywił oblicze... I pomyślała sobie: wszak to sen. A sen marą! I chciała zapomnieć o nim.

Lecz on wracał.

I teraz w mgle ujrzała swego Janka, jak wyciągał ręce do niej, jak pragnął jej uścisku, jak składał usta w kielich, do pocałunku — z raną w piersiach, z bólem w mętnych oczach. I zdawało jej się że wzywa ręką do siebie.

Wtedy wezbrał w jej sercu ból i żal i tęsknota i chciała biedz, pędzić, byle tylko złączyć się z ukochanym Jankiem. I buchnęła potokiem krwawych, gorzkich łez.

A Janek stał i wyciągał ręce.

Nie mogła tego znieść, nie mogła nań patrzeć, bo zdawało jej się, że jego oczy jej wymawiają, że go puściła, że mu dała iść, że go nie zatrzymała, nie wydarła z rąk konieczności.

I chwyciła ją złość na siebie za to, co zrobiła — za ten fatalny czyn.

Podniosła oczy.

A Janek stał i wyciągał ręce.

Lecz to już dla niej było okropne, nie chciała się przyznać do winy, zasłaniała się przed nią rękoma, wzbraniała, cofała, lecz Janek stał i oczyma jej wytykał błąd. Wtedy porwała się z krzesła, przebiegła pokój, schody i wybiegła na ulicę. Z ulicy na cmentarz.

Tu padła na kolana i modliła się długo, serdecznie, gorąco.

To nie była jej wina — nie chciała go dać, ona go wolała mieć przy sobie, bo przecież to była jej miłość.

I wstała.

Cmentarz pachnął cały czeremchami i cyprysami, błyszczał rozlicznem kwieciem, jak bukiet jakiś.

Szła wolno, chwilami stawała, zamyślała się.

W końcu nogi odmówiły posłuszeństwa.

Spoczęła.

Naprzeciwko ławki był nowy, kamienny grób. Podwoje jego stały otwarte, zapraszały do wnętrza, zachęcały gościnnością i uprzejmością. Lodowate zimno wiało z głębi wiecznego mieszkania. Domek był murowany, ozdobny, świeży.

Wpatrzyła się weń.

Nagle stało się coś dziwnego, niepojętego, okropnego.

Zdawało jej się, że z grobu wychodzi Janek. Wychudł, zmizerniał, wyszedł, jak Łazarz, więty boleścią i męką. Twarz miał zeszpeconą plamami i dzióbami choroby, piersi przedziurawione kulą. A wokół rany gromadziły się robaki i mnożyły i żarły gnijące ciało.

I stał jak Łazarz.

I wyciągnął swe chude ręce do — matki.

Wtedy oczy jej zwróciły się w słup, stały się krwawe, aż zaszły mgłą i zamarły. Nie widziała już nic. A jej resztki włosów siwych stały się tak białe, jak śnieg, a nogi giąć się poczęły i runęła na ziemię. Paznogcie zaś drzeć poczęły ziemię a piersi krzyczeć i jęczeć ostatkiem sił.

A Janek stał i wyciągał ręce.

I lekko się podniosła i złączyła swe ręce z jego, a to biedne, skołatane serce matczyne pękło z bólu...

Na cmentarzu szumiały cyprysy i woniały czeremchy.

Konrad Henryczewski.

OSTATNI.

Z cyklu: Wojna.

Pani Maryi Maj... poświęca Autor.

Miasto płonęło.

Krwawa łuna rozlała się po całym horyzoncie i zapaliła go jednym, potężnym płomieniem. Gęste kłęby dymu unosiły się w przestworzach, ciężkie, jak ołów, ciemne, jak heban — nieprzeparte, nieustępujące. Wszelki lazur niebieski okrył się, niby płaszczem nieprzejrzanym, otulił oną szarą mgłą, gdyby chustą.

Miasto płonęło.

Paliły się domy, paliły kościoły, paliły dwory i pałace. Paliło się wszystko, co tylko spalić się mogło. Niepohamowany żywioł zdawał się poprzysiądz zagładę owemu miastu śmierci, zdawał się uknuć spisek na owe miasto, by zdruzgotać je, by spalić, by roznieść potem na barkach wichru, rozpędzić nagie zgliszcza na wszelakie strony świata, a zabłysnąć pogorzeliskiem...

Wiatr dął z mocą, rozdmuchiwał tlejące iskry, trącał ledwo trzymające się belki, obalał świecące nagimi konary drzewa, osierocone ze swych dzieci — liści. Co chwila dawał się słyszeć huk i łomot i trzask walących się ścian, rozsypujących się w popiół desek i dachów, opadających kopuł kościelnych, brzęk tłuczonych szyb, zgrzyt pękających ścian. Na wybrukowanych ulicach nagromadziły się stosy zetlałego paliwa, całe szeregi, niby ręką ludzką poustawianych cegieł, olbrzymie kupy popiołu i pyłu, a z tego wszystkiego za lada podmuchem wiatru wznosiły się tysiące iskier, buchały złociste, jak promienie niewidocznego słońca, gorące, jak rozpalona stal, języki ognia. Strzelały w górę, niby fontanną, błyszczały, niby gwiazdy na niebie — świeciły i promieniały swą potęgą i mocą.

I z wielkiego, wspaniałego miasta, ostały się jeno popioły i zgliszcza...

Tu i ówdzie sterczały jeszcze osmalone, nagie, chwiejące się belki, sterczały, jako wspomnienie, jako trujący upominek minionej świetności... Nie było już nic... Miasto spłonęło doszczętnie — nie znający przeszkód żywioł pożarł je — zostawił wspomnienie. Pożarł świetność miasta, pożarł jego wspaniałość, nie zostawił nic.

Lecz miasto się nie poddawało.

Została kupa popiołów i prochów z kwitnących wieków przeszłości, nie poddawała się. Nie było nic — lecz miasto trwało w zaciętości, trwało w uporze konających, w gröb zstępujących ofiar życia.

Ziemia drżała od ustawicznego huku, od trwających wstrząśnień. Zdawało się, że świat cały sprzysiągł się na konające miasto, bo grom po gromie spadał na nie. Miliony kul sypały się z góry, niby z jakiegoś nieprzebranego skarbca niewyczerpanej obfitości — a wszystko to waliło się na nieszczęsną ofiarę, nie uznając żadnej przeszkody, żadnego oporu w tej nawałnicy. I, choć nad miastem przeleciało widmo zagłady i zniszczenia, choć miasto drgało w przedśmiertnych konwulsyach — to jednak trwało nieubłaganie w zaciętym uporze.

Nie poddawało się.

Waliły się mury, sypały powały, osuwało się wapno, płonęły belki i deski, dachy i sprzęty — lecz miasto się nie poddawało.

Wśród tego szalonego, nieogarniętego wichru zniszczenia, wśród kupy gruzów i płonących polan i smolnych żagwi, niby duchy w piekle, niby potępieńcy na dnie przepaści, obdarci, osmoleni, krwawi kręcili się mieszkańcy. Nie wzruszał ich już pożar miasta rodzinnego, nie wzruszały popioły jedynego mienia — sprzętów, nie wzruszały zgliszcza własnym nakładem, własną pracą wystawionych świątnic Pańskich — chodzili po ulicach, niby skazańcy. Teraz, gdy znikło wszystko, gdy w popiołach płonącego miasta, leżało to, o co starali się przez wieki, do czego dążyli zawsze śmiało i pewnie, gdy w gruzach leżał — spokój i szczęście, gdy na ziemi został tylko grób — pragnęli i życzyli sobie jednego — śmierci. Dawniej mieli co kochać, mieli kwitnące, bogate miasto — teraz mieli je także, ale w popiołach i pożarach, ruinie i pyle. Nie było po co żyć. Nie stało na świecie miejsca, nie stało bliźnich, którzyby ich z bratnią dobrotliwością przygarnęli do siebie, którzyby zaopatrzyli te krwią ociekające, palące ogniem rany, którzyby pocieszyli te zbolałe, w otchłaniach smutku pogrążone dusze i serca. — Chcieli miasto trzymać całą siłą i potęgą swą przy sobie — nie wydawać go na pastwę wrogowi, bronić do ostatniej kropli krwi, a dopiero ze śmiercią wszystkich, wydać je — opustoszałe, zburzone, spalone, w popiele i pyle leżące miasto.

Tak myśleli i tak zamierzali uczynić mieszkańcy. A, niby w odpowiedzi na ich święte przedsięwzięcia, niby w odpowiedzi biciu ich serc — odrzekły dusze i serca tych, którzy bronili starego grodu — żołnierzy. I dla nich nie zostało nic po stracie miasta, po poddaniu się twierdzy. Zapomnieli o całym świecie, zapomnieli o rodzinie, o tem wszystkiem, co dawniej było dla nich rozkoszą i radością — przed oczyma ich świecił się nadziemskim płomieniem jeden cel i jedna myśl rozgrzewała ich serca — zwycięstwo lub śmierć. I postanowili sobie nie ruszać się z posterunków, wytrwać na nich i z życiem dopiero wydać je wrogom. A wtedy jakaś błoga, niewinna radość zamieszkała w ich sercach — uczuli się nagle godnymi największych bohaterów, uczuli się godnymi stanąć obok największych mistrzów polskiego oręża i na swych barkach nieść jego sławę, choćby na krańce świata, jak ongi nieśmiertelni, wiecznie w pamięci żyjący męczennicy nieszczęśliwego narodu niewoli...

Wróg atakował. Szturm się rozpoczął na nowo. Działa grzmiały ustawicznie, żołnierz pracował gorączkowo.

Zdawało się, że szturm ten, to będzie ostatni, że po nim nieprzyjaciel ustąpi. Armaty huczały tak, jakby już dzień szturmu był dniem ostatnim krwawych zapasów, jakby od niego zależał los całej wojny. Szare, ginące w mroku pyłu i prochu szańce zdawały się być wiecznymi, nie dającymi się roznieść; kule padały na nie ustawicznie, tumany pokruszonej gliny i sypkiego piasku unosiły się w powietrzu, wirując i kołując, jakby w jakimś piekielnym tańcu dyabłów i czarownic. To wznosiły się w górę, to znów opadały wietrzne, lekkie jak puch, przyjmując coraz to inne kształty i postacie. Chmury ciemne owej kurzawy przebiegały powietrze, zakrywały widnokręgi, zakrywały szare kontury płonącej twierdzy.

A twierdza odpowiadała.

Okryta obłokami chmur, zasłonięta szarzyzną pola, twierdza odpowiadała. Mury trzęsły się od wystrzałów, niby na wiwat wypalanych; ryczących, syczących, pękających pocisków nieprzebrane mnóstwo wyrzucała ze swojego cielska potężna twierdza, dysząc od zmęczenia i wypoczywając od czasu do czasu.

Lecz forty padały, padały puste, ogołocone ze wszystkiego, martwych ciał pełne. Musiały, bo bystra rzeka ołowiu, żelaza i płonącej stali toczyła swe nurty na bastyony chwiejących się murów.

Padały jedne za drugimi, aż wszystkie padły. I został się tylko jeden fort, jedna ostoja walczących lwów.

Żołnierze pojęli doniosłość i potęgę swego obowiązku. Postanowili zginąć tak, jak ginęli tamci — ze sławą, w laurowym wieńcu chwały na głowie, wiecznie żyjący w pamięci tych, co zostali po nich na tym padole.

I chwycili się znów i znów poczęli się gorączkowo imać pracy.

Ale i wróg nie zasypiał.

Co chwila warcząc, miotając się, sycząc i jęcząc przelatywały granaty i szrapnele, bomby i karabinowe pociski. Wnętrze fortu usłało się czarnym kobiercem kul, niby wzorzysta tkanina. Pociski trafiały. Liczba załogi poczęła topnieć, maleć, niknąć, rozpadać się. Podwórzec zlał się krwią, co chwila dawały się słyszeć jęki, westchnienia. Powietrze przesycone wonią spalenizny, napełniło się wyziewami rozkładających się ciał, małe, szczupłe rowki napełniły się potokami krwi. Dawał się słyszeć jęk śmiertelnie rannych, charczenie konających, okrzyki rozjuszenia żyjących i walczących. Nad tą hałastrą walających się, bez opatrunku konających istot wznosiły się stada wron i chmury kruków, jakby już przeczuwając, że znajdzie się dla nich suty żer. Już w górze, nie zważając na pociski, biły się stada ustawicznie ze sobą, walcząc o to, co jeszcze nie stało się ich własnością. Niejeden ranny spojrzał w górę i spostrzegał owe stada złowróżebnych, złowieszczych ptaków i — podnosił się, brudną koszulę darł, przewiązywał ranę i chwytał za karabin i bił się, póki znów nie runął, póki nie skonał. Szał jakiś ogarnął żołnierzy, rozpasał ich namiętności, pobudził do wściekłości. Rozgorzeli nagle, niespodziewanie, dziką wściekłością ku tym, którzy wydarli im szczęście życia, pozbawili spokoju i szczęśliwości.

Było ich dwóch: ojciec i syn.

Kochali się bardzo. Gdy wojna wybuchła razem, poszli w bój. Syna mu wzięli — nie chciał w domu zostać sam i poszedł z nim. Poszli razem. Bili się razem i stale byli przy sobie — nie opuszczali się. Ojciec uważał zawsze na syna, bronił i chronił go, nie dawał nigdy iść samemu w zawieruchę, więc szli razem, ramię w ramię, zgodnie, z miłością. Ojciec dawał synowi swój chleb tajemnie, gdy w twierdzy zapanował głód, bronił go przed drugimi, gdy chcieli jego synowi wydrzeć chleb z głodu, nie dawał go męczyć — sam szedł za syna, narażał się za syna.

A teraz uczuli obaj, że umrą.

Staremu nie nowiną była śmierć, mógł śmiało jej spojrzeć w zęby — czekał tylko, aż się ukaże, lecz żal mu było dziecka. Nie wiedział, co się z niem stanie po jego śmierci, więc zdjął go strach. Któż mógł wiedzieć, co będzie potem? Może pójdzie w niewolę i może padnie gdzie w śniegach i lodach, może będzie wolny i żyw? Więc żył w niepewności, nie wiedział, co się z jego Władkiem stanie. Patrzył na niego długiemi chwilami, jakby chciał sobie w swej duszy wyryć jego podobiznę, patrzył, a obraz rył mu się w pamięci, by towarzyszyć w drodze do wieczności. I uczuł, że lepiejby było, gdyby umarł teraz, przed nim, bo wiedziałby, gdzie go szukać, wiedział, że już jest mu dobrze, zacisznie.

A syn?

Jemu się oczy śmiały na widok walki, on nie dzielił strachu z ojcem, czekał tylko sposobności, by się wyzwolić z pod ciężącej opieki i, choć kochał ojca całą duszą, wolałby być bez niego. Ojciec nie dawał mu nigdzie chodzić bez siebie, towarzyszył mu na każdym kroku, a on czułby się swobodniejszym w działaniu bez ojca. Lecz musiał znosić. Musiał bić czołem przed tą miłością ojcowską, która zasłaniała go od pocisków świata, musiał ulegać świętej woli.

Ale ojciec nie spuszczał go z oczu. Pytał o żądania, lecz nie spełniał ich. Dotychczas nie byli ranni. Jakoś szczęśliwie udało im się zawsze uciec, czy coś innego zdziałać tak, że nie tknęła się ich żadna kula.

I cieszyli się z tego.

Teraz leżeli obok siebie, z karabinami w rękach — w oczekiwaniu.

Zrobił się wieczór. Zimno zaczęło szarpać za ciało lekko okrytych żołdaków.

Starzec zdjął ze swych bark żołnierski, siwy płaszcz i otulił nim swego Władka.

Czekali.

Nieprzyjaciel ustał. Czy to chwilowo, czy na dłużej, tego nie widać było z fortu. Nieprzyjaciel odpoczywał. Żołnierze pokładli się na wilgotnej, krwią przesiąkniętej glinie i czekali. Nie byli pewni, czy nieprzyjaciel nie spadnie na nich znienacka, więc czekali. Płynęły godziny, cisza panowała wszędzie. Zdawało się, że walka już ustała na zawsze między obiema stronami przeciwnemi.

Lekki wiaterek dął z północy, mrożąc już i tak skostniałe członki, przejmując nieszczęśliwych dreszczem od stóp do głowy. Zesztywniałe palce puszczały kurki, zziębnięte ramiona i dłonie nie mogły utrzymać ciężaru karabinu. Głowy ociężale chyliły się ku ziemi, a sen roztaczać począł swe nitki pajęcze wokoło nich. Oczy senne poczęły się kleić, usta co chwila rozchylały się w potężnych ziewnięciach. Wkońcu zdrzemnęli się.

Ale, jak na nieszczęście, właśnie w tej chwili dał się słyszeć strzał i — sen uleciał, jak mara, z ciężkich powiek. Nie danem im było przespać się — zerwali się i stanęli w gotowości.

W tejże samej chwili snop światła padł z twierdzy i oświetlił miejsca przed obwarowaniem.

Żołnierze zdumieli się i nogi pod nimi ugięły się z przerażenia. Gdyby nie ów zbawczy strzał, byliby spali dalej, a za kilka chwil — byliby przeszyci kulami...

Na całej, szerokiej przestrzeni, gdzie, niby sieć pajęczyny, rozsnuto druty kolczaste, widać było brudne, szare mundury rosyjskie. Biegli truchtem, kilku już cięło druty. Cały ich rój rzucił się w jednej chwili na sieć i połączył w pracy z poprzednimi.

W tej chwili dwa potężne snopy światła rozjaśniły teren.

Stało się widocznem, że Moskale zamierzali tajemnie, nocą podkraść się pod fort.

Dowódca fortu dał znak ręką.

Wtedy nagle stało się coś strasznego.

Na kolczastych drutach zawisło tysiące ciał i poczęło się w okropnych drganiach skręcać i szarpać i wić i targać.

Nacierający oniemieli.

Teraz dopiero zrozumieli, że zapomnieli o tem, że i twierdza ma swoją obronę, że i ona może stać się straszną, a druty kolczaste nie tak łatwe do przebycia. Zrozumieli to, ale już zapóźno. Tysiące ciał zawisło na drutach rozpiętych.

Nagle dał się słyszeć szczęk i okrutne: Hurra! przeszyło powietrze, jak krakanie kruka lub wycie hyen i szakali nad padliną.

Starły się obie potęgi w jednym, szalonym zapędzie rozwścieczenia i zemsty za wszystkie odebrane krzywdy. Starły się i dał się słyszeć zgrzyt i nowa rzeź rozpuściła swe wodze.

Oblężeni atakowali z jakąś niepohamowaną, szaloną furyą, niby w przedśmiertnej agonii, atakowali nieprzytomni, rozżarci.

Władek z ojcem rzucili się także w wir walki. Obydwaj pojęli, że teraz nadeszła śmierć, więc rozdawali razy na prawo i lewo, z jakąś dziką rozkoszą zatapiali bagnety w ciałach przeciwników, nie widząc nic, prócz piersi i brzuchów napierających Moskali. Obryzgali się krwią, okryli potem, lecz postanowili drogo okupić swe życie.

W zamęcie walki Władek zniknął gdzieś swemu ojcu z przed oczu, ten więc, jak waryat, zaczął rzucać się na wszystkie strony, kolbą i karabinem torował drogę wśród naciskających, byle go tylko znaleźć.

Wtem zadrżał.

Ujrzał swego Władka, rozdzielającego razy na wszystkie strony, nie baczącego i nie zważającego na żadne niebezpieczeństwo. Za nim, z tyłu, skradał się z kocią zręcznością jakiś wysoki, barczysty Moskal. Widać było, że już oddawna czyhał na niego, że widział siebie zniszczenia i chciał się na jej sprawcy pomścić. Stary ojciec struchlał, ale po chwili odwaga wstąpiła mu w serce i uczuł się pokrzepionym i wściekłość ogarnęła jego serce, że ów cham ośmielał się i chciał zabić jego ukochane dziecko. Ojcowska miłość zakołatała mocno do jego serca i rzucił się naprzód.

Jedna chwila, a nieszczęśliwy ojciec płakałby nad zwłokami syna, bo Moskal już, już miał utopić bagnet w plecach Władka, gdy między nich obydwu rzucił się stary ojciec.

Własną piersią zasłonił syna przed napaścią i bronił się karabinem. Oszołomiony niespodzianą pomocą, Moskal rzucił się z furyą na starego żołnierza i rozpoczęła się walka. Co chwilę błyskały bagnety, słychać było szczęk i zgrzyt ocierającej się stali. Wreszcie staremu udało się pokonać przeciwnika i, gdy miał przebić swego wroga, ten nagle i nieprzewidzianie pociągnął za cyngiel i... padł strzał.

Starzec zatoczył się.

W tejże samej chwili niebiosa otwarły ze czcią, przed nim podwoje, jako przed tym, który z ojcowskiej miłości złożył swe życie w ofierze dla syna, dokładając do znicza wiecznego przywiązania rodzicielskiego jeszcze jedno polano, by ogień błysnął jaśniejszym płomieniem, by oślepiającym blaskiem promienistego światła lunął w oczy nie znającym go i nie wierzącym weń.

Wyczerpany starzec osunął się na ziemię.

Jakaś błoga, cicha radość rozlała się szeroko po jego opalonem obliczu, oczy rzucały nadziemski blask. Usta spieczone poczęły lekko poruszać się, niby płatki kielicha róży, niby listki wierzby, szarpane podmuchami zefiru. Zdawał się żądać czegoś, prosić kornie o coś, bo twarz przybrała wyraz jakiejś błagalnej zadumy, czy melancholii.

Władek pochylił się.

Pierś starca podniosło głębokie westchnienie. Przymknięte przez chwil parę oczy rozwarły się.

Spojrzał i uśmiechnął się.

Koło siebie ujrzał zapłakane, potem i krwią okryte lice syna. Uniósł dłoń w górę i skinął na niego.

Wtedy rumieniec nagły zalał jego twarz i uśmiech powtórnie okrasił zżółkłe oblicze. Ale równocześnie oczy poczęły powoli gasnąć, zamierać i obracać się w słup. I palce jęły targać kurczowo glebę i drzeć ją w przedśmiertelnym skurczu, póki nie spoczęły — na wieki. I serce zabiło raz ostatni, a dusza ule-

ciała do tego najmiłościwszego, największego ojca ludzkości — Stwórcy.

A działa grzmiały na podzwonne, grzmiały na requiescat, ponurym, głuchym jękiem, a kruki w powietrzu krakały na pożegnanie świętemu starcowi i krakały mu ostatnią pieśń — pieśń życia i cierniowej męki...

Władek porwał się jak nieprzytomny.

Spełniło się to, czego pragnął — uwolnił się od ojca, ale jakże strasznie, nieoczekiwanie. Teraz chwycił go żal za tem, co tak nagle i niepowetowanie stracił, za tą jedną, jedyną podporą jego młodości, za tą olbrzymią, potężną jak burza, miłością ojcowską; zrozumiał, że niemasz już dla niego żadnej obrony, że został na świecie, wśród gradu podłości i zepsucia sam jeden, przez nikogo nie wspierany, nie zasłaniany. Łzy stawały mu w oczach na wspomnienie tego starca, który do ostatniej chwili nie zapomniał o swem dziecięciu, który do ostatniej chwili narażał dla niego i za niego swój żywot, byle je widzieć szczęśliwem, żywem i — całem. Lecz to, o co się starał, nie zostało spełnionem. Umarł, a umarł miast swego syna — poświęcił się. Nie kazał mu nikt iść w bój, walczyć o nieznany cel, nie kazał mu mus, nie kazała powinność — on poszedł sam, poszedł, by zginąć za syna i zginął. Przed taką miłością biją czołem zastępy, klękają tłumy, korzą się gromady, przed taką miłością bił czołem — on, syn.

I nagle ogarnął go żal za ojcem i uczuł, że nic mu go już nie wróci, że ojciec dlań umarł na zawsze, że poszedł w ciemny grób, a jemu zostawił tylko pamięć po sobie, I ten żal zmienił się we wściekłość palącą, roznamiętniającą. Ogarnęła go chęć zemsty, rozpaliła w nim całą siłę wewnętrzną, dodała zewnętrznej i — ruszył na tych, którzy jeszcze zostali.

Załoga konała.

Konała, drgając ostatniemi siłami, dyszała, targana ostatnimi podrygami przedśmiertelnymi, opadała ze znużenia, podrywana ciężarem i długością walki.

Żołnierz omdlewał, wypuszczał broń, chciał walczyć, lecz dłonie nie mogły utrzymać karabinu. Walka zmieniła się w rzeź — nieprzyjaciel tryumfował, a pułk topniał. Liczba z każdą minutą malała, póki nie został się jeden. Był nim Władek.

Do ostatniej chwili bronił się zacięcie, mordował naokoło, ciął swym bagnetem, jak osa żądłem — nie dawał się.

Odpierając razy nieprzyjaciół, cofał się powoli ku miastu.

Nacierający ustawicznie usiłowali go pokonać, wytrącić mu broń z ręki, lecz to nie udawało się jakoś, nie zdołali tego dokonać. On stał się jakimś niepokonanym, nieugiętym wrogiem dla nacierających i, choć ci przewyższali go siłą i wiekiem — nie zdołali mu stawić oporu. I nie poddawał się.

Powoli zbliżył się do miasta.

Nagle zdało mu się, że słyszy jakieś okrzyki za sobą — na chwilę spojrzał tam i ujrzał sotnię kozaków, szarżującą na nieszczęsnych mieszkańców. Ten ostatni oddział dał mu do zrozumienia, że pozostała mu tylko śmierć.

I postanowił godnie skonać, postanowił stać się godnym tego, który zginął za niego. Uniósł wysoko nad głową karabin i jął rozdawać ciosy.

Gromadka atakujących zwiększyła się. Miał do czynienia z przewagą.

Przywiązanie do życia, zmieszane z miłością do ojca, który poległ za niego, odezwało się silniej w nim. Postanowił albo zginąć, albo wyjść cało. Było mu wszystko jedno, co stać się mogło. Nie zależało mu na życiu, nie szedł pod kule. Chwiał się. Śmierć ciągnęła go do siebie miłością ku ojcu, życie miłością ku temu, co go otaczało. I nie wiedział, gdzie zwrócić się, gdzie skierować. Lecz rozstrzygnięcie zawisło nad jego głową, jak wrona w powietrzu. Zjawiło się nad nim, jak mara, zataczyło swe kręgi wokoło — okazało się, jako nieubłagane, niecofające się przeznaczenie...

Gromadka atakujących zwiększała się z każdą minutą.

Władek omdlewał.

Odwaga gasła w nim powoli, zrozumiał, że nic go już nie uratuje i powoli tracił chęć do utrzymania się przy życiu. Pojął, że umrze, a ta śmierć była dlań jedynym końcem, jedyną zatoką, do której mógł przybić w łódce swego żywota. I stała się dlań radością.

Oglądnął się wokoło.

Nigdzie nie miał towarzyszy — był sam.

Wtedy z dumą podniósł czoło do góry, z dumą i radością, że był: Ostatnim z ostatnich!

I już dusza jego napawała się błogością, a umysł pychą, że czoło okryją mu wieńcem, z laurów i wawrzynów plecionym, a imię wpiszą obok imion nieśmiertelnych.

I nie zważał, że bagnety prują jego ciało, nie zważał, że targają je, że krew cieknie z ran — słabo odpierał ciosy i stał wśród nacierających, jako męczennik.

Aż nagle uczuł, że ciało mu cięży, nogi się uginają i — runął na stosy trupów.

W tej chwili trzy bagnety pochyliły się nad nim i czarna krew obryzgała nacierających.

Umarł.

— — — — — — — — — — — —

Słońce świeciło krwawym blaskiem, a jego promienie padały na ziemię, przeglądały leżące ciała, przepatrywały je, aż nagle zdały się zatrzymać nad jednem.

Był to on.

Blaski zabłysły potężniej, zdały się roznosić wszędzie bolesną wieść, że tu leży: Ostatni z ostatnich...

Nieprzyjaciel wkraczał w popioły i gruzy.

KONIEC.

Z życia narodowego we wschodniej Galicyi.

Wśród miast i miasteczek Galicyi ze szczególną uroczystością obchodzono rocznicę Konstytucyi Trzeciego Maja w Birczy. Już na dzień przed obchodem, który zorganizowało miejscowe Koło T. S. L., mieszkańcy miasta ozdobili okna swych domów nalepkami T. S. L. i udekorowali pięknie domy swoje. W dniu obchodu, wczesnym rankiem, okoliczna ludność polska przybywała do miasta, celem wzięcia udziału w zapowiedzianej uroczystości, przyczem każdy zaopatrywał się w odznaki, które sprzedawały pp. Gabryelska, Jabłońska i Szałajkowa.

Po solennem nabożeństwie w kościele miejscowym, celebrowanem przez ks. proboszcza Stanisława Okońskiego i podniosłem kazaniem patryotycznem, wypowiedzianem przez katechetę, ks. Władysława Opalińskiego, uszeregował się pochód. W pochodzie tym wzięła udział między innemi dziatwa szkolna z nauczycielkami swemi na czele i cała ludność polska, tak z Birczy, jak i z okolicy. Na czele pochodu



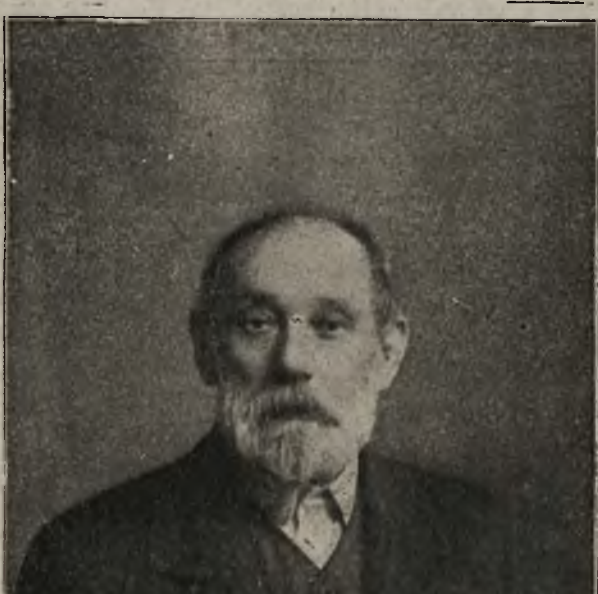
Z życia narodowego we wschodniej Galicyi: Obchód Konstytucyi Trzeciego Maja w Birczy.



Z życia „krakowskich dzieci" na froncie: Poświęcenie letniej sceny Teatru polowego 16. p. p. obrony krajowej

niósł pięknie wykonàną chorągiew pan Jan Gola, w asystencyi dwu miejscowych Legionistów, bawiących tu chwilowo na wypoczynku, a za nimi postępował chór żeński z Birczy i z Korzeńca, który przez cały czas obchodu, pod batutą swego dyrygenta, ks. Opalińskiego, śpiewał pieśni narodowe.

Pochód, wyruszywszy wśród śpiewów z przed kościoła, przeszedł miasto całe, zatrzymał się koło placu Keyhy, gdzie z balkonu przemówił do uczestników pięknie sekretarz miejscowego Koła T. S. L., p. Stanisław Szuber, poczem uczestnicy w pochodzie powrócili przed kościół, gdzie dokonano pamiątkowego zdjęcia, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Zgon powstańca: S. p. Antoni Filipowski.

Zgon powstańca.

W tych dniach znowu ubył jeden z tych, którzy już dawniej porwali się na bój za Ojczyznę, a którzy dzisiaj, wiekiem przygnieceni, z bijącem sercem wsłuchiwali się w odgłosy obecnej walki i z utęsknieniem czekali chwili, gdy z posiewu krwi przelanej zmartwychwstanie Polska.

W Krakowie zmarł ś. p. Antoni Filipowski. Urodzony w Krakowie w r. 1840, w r. 1852 wstąpił na praktykę do drukarni Uniwersyteckiej. Po ukończeniu praktyki udał się do Warszawy, a kiedy wybuchło powstanie, pospieszył w szeregi walczących i z oddziałem Krysińskiego brał udział w walkach w Lubelskiem.

Po rozbiciu oddziału dostał się ś. p. Filipowski do niewoli rosyjskiej i został wywieziony na Sybir (Tobolsk, Tomsk), skąd po trzech latach, jako dezertera austryackiego, odstawiono go do granicy. Wkrótce potem wstąpił do drukarni w Piekarach na Śląsku pruskim, skąd podczas wojny austryacko-pruskiej wydalono go, jako obcego poddanego. Po wojnie pojechał do Torunia, gdzie w drukarni Buszczyńskiego pracował przez lat 20, będąc równocześnie gospodarzem Muzeum polskiego w Toruniu. Podczas rugów pruskich w r. 1885 zmuszony opuścić Toruń, po 17-letnim pobycie w Radomiu ś. p. Filipowski wraca do Krakowa i wstępuje napowrót do drukarni Uniwersyteckiej, gdzie rozpoczął praktykę i gdzie też, po 17 latach pracy, zakończył żywot w 77 roku życia.

Cześć Jego pamięci!

Z życia „krakowskich dzieci" na froncie.

Głośny już się stał „Teatr polowy" 16 pułku obrony krajowej na froncie, niewątpliwie jedyny w obecnej wojnie światowej... Poprzednie informacye i fotografie z tego teatru uzupełniany obecnie nowemi, które świadczą o ciągłym rozwoju tej niezwykłej sceny. Dwie zamieszczone fotografie przedstawiają mianowicie świeżo wzniesiony letni budynek teatru, którego poświęcenie odbyło się niedawno. Uroczystość tę widzimy właśnie na jednej fotografii. Na drugiej fotografii widzimy widzów na inaugura-



Z życia „krakowskich dzieci" na froncie: Widzowie na inauguracyjnem przedstawieniu w letnim Teatrze polowym 16 p. p. obrony krajowej.



Nowa ofenzywa włoska: Statua Matki Boskiej, słynąca cudami, w austryackim rowie strzeleckim na południowo-zachodnim froncie

cyjnem przedstawieniu „Gwiazdy Syberyi“ z p. Miarczyńskim, znanym artystą sceny krakowskiej, w roli kniazia Anzelma. Na przedstawieniu tem zebrało się przeszło ośmset widzów, wśród których byli zaproszeni goście z innych pułków.

„Teatr polowy“ nietylko dostarcza żołnierzom szlachetnej rozrywki, ale spełnia również szlachetny czyn filantropijny, bo dochód z przedstawień (wstęp 20 hal.) zasila wydatnie fundusz wdów i sierót po żołnierzach krakowskich. Tak n. p. inauguracyjne przedstawienie „Gwiazdy Syberyi“ dało dochodu dwieście pięćdziesiąt koron.

Na froncie 16. pułku obrony krajowej obok Melpomeny, kwitną także i inne sztuki. — Na jednej z zamieszczonych w dzisiejszym numerze fotografii widzimy znowu polową wystawę obrazów, malowanych na miejscu przez kadeta Bohocza. Piękne ramy do tych obrazów wykonał pułkownik Hohenauer, który jest niewątpliwie jedynym a tak gorliwym mecenasem sztuki na froncie.



Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie: Polowa wystawa obrazów kadeta Bohocza w 16. p. p. obrony kraj.

Z frontów bojowych.

Po pewnej przerwie znowu rozgorzały walki na Zachodzie.

Dnia 20. b. m. rano doniesiono o ataku wielkich sił nieprzyjacielskich na całym froncie pomiędzy Arras i Cambrai. Szły z ogromnym animuszem szeregi po szeregach, ale niszczący ogień artyleryi niemieckiej kładł je pokotem, zanim zbliżyć się mogły dostatecznie do okopów przeciwnika.





Mały gość na wizycie u „trzynastaków“. **Z życia „krakowskich dzieci“ na froncie:** Święta wielkanocne w 13 p. p.

Tylko w okolicy Croisilles udało się świeżo wprowadzonym w ogień dywizyom angielskim na szerokość kompanii wtargnąć do niemieckich przednich stanowisk. Natomiast zachęcone tem dalsze zastępy, które w ślad tamtych zdążały, zostały częścią zniszczone, częścią rozpędzone, przyczem Niemcy wzięli do niewoli dwóch oficerów i czterdziestu trzech żołnierzy, jakoteż zagarnęli trzy karabiny maszynowe.

Sukces swój starali się Anglicy w ciągu popołudnia rozszerzyć. W kilku miejscach wielokrotnie, tu i ówdzie po pięć razy, coraz nowemi falami szerokości dywizyi uderzali w linię niemiecką, ale odparto ich wszędzie, z wyjątkiem jedynie okolicy na południowy zachód od Fontaine, gdzie dostał się Anglikom wąski płat, wyskakujący językiem z linii frontu niemieckiego. Atak nieprzyjacielski podjęty wieczorem z Bullecourt, dobrowolnie wydanego przez Niemców, zakończył się dla nich niepowodzeniem. St. Quentin było znowu celem dla artyleryi nieprzyjacielskiej, która w szacowną wiekiem katedrę, wspaniałe dzieło gotyku, ugodziła dwunastu granatami.

W przestworzu Aisne'y dnia tego rankiem padły ofiarą dział niemieckich, straszliwie krwią brocząc, oddziały francuskie, partyami wysyłane do ataku w okolicy Laffaux i fermy Hurtebise. Rankiem wojska niemieckie, po rzęsistem ostrzeliwaniu artyleryjskiem, posunęły się na szerokości 200 m. naprzód, przyczem wpadło im w ręce 200 jeńców i 6 karabinów maszynowych. Popołudniu nastąpiły trzy silne ataki nieprzyjacielskie, które, podobnie jak jeszcze gwałtowniejsze ataki wieczorne Francuzów, odparto — z ciężkiemi ich stratami — w walce ręcznej. Ponadto Bawarczycy, dla poprawienia linii frontowej zaatakowali nieprzyjaciela z ogromną brawurą, skutkiem której nieprzyjaciel ustąpić musiał ze znacznej części okopów w północno-zachodnim zakątku płaskowyża Bovelle. W gwałtownych drobnych starciach, przyczem przychodziło do obrzucania się wzajemnego granatami ręcznymi, Niemcy utrzymali w swem posiadaniu wszystkie zdobyte okopy i zabrali z sobą 50 jeńców, jakoteż trzy karabiny maszynowo.

Tuż przed północą, dnia 20 b. m. Poznańczycy



Nowa ofenzywa włoska: Austryackie stanowisko na froncie południowo-zachodnim

w okolicy na północny-zachód od Braye zajęli przednie okopy nieprzyjaciela na przestrzeni 200 m. Także im udało się zabrać garstkę jeńców.

Oprócz nowej ofenzywy włoskiej, o której piszemy na innem miejscu i wznowionych znowu po pewnej przerwie walk na Zachodzie, zaczyna panować pewne ożywienie i na froncie wschodnim, gdzie już od dłuższego czasu działania wojenne niemal zupełnie ustały. Jak donoszą komunikaty urzędowe, w ostatnich dniach na wielu miejscach frontu Rosyanie przeszli do ataku, co świadczyłoby, że armia rosyjska, choć wstrząsana jeszcze gorączką rewolucyi — pod naciskiem koalicyi usiłuje przystąpić do ofenzywy. Czy to się jej uda — najbliższa przyszłość okaże.





Echa gospodarki rosyjskiej w Galicyi: Odczytanie wyroku śmierci na miejscu kaźni. Ostatnie chwile skazanych.

Ofenzywa włoska.

Włosi próbują znowu szczęścia. Toczące się obecnie walki na południowym froncie są dalszym ciągiem wielkiej dziesiątej bitwy nad Soczą. O przebiegu jej w pierwszym tygodniu ofenzywy włoskiej korespondent wojenny Langstein podaje następujące ciekawe szczegóły:

W piątek, d. 12. bieżącego miesiąca, działa włoskie poczęły ostrzeliwać coraz silniej pozycye austro-węgierskie na całym sześćdziesiąt kilometrów długości froncie od Tolmeinu aż ku morzu. W niedzielę rozpoczął się ogień huraganowy. W poniedziałek ruszyła piechota do szturmu. Już w pierwszym dniu bitwy można było poznać, jaki plan powziął tym razem Cadorna. Jest to wódz, posiadający dużą energię; atoli sam ocenił wreszcie, iż nie może dalej posunąć się naprzód na płaskowyżu Krasu. Powziął przeto plan przełamania górskich pozycyj austro-węgierskich w odcinku Auzza-Salcano. Jak wynika z doniesień dzienników włoskich, prace przygotowawcze zajęły pół roku. Aby módz niespodzianie szybko pchnąć masy do ataku, zbudowano na przedpolu podziemne kryjówki, w których gromadzono wojska, ukryte przed wywiadami obserwatorów austro-węgierskich.

Prawdopodobnie za główny cel ataków obrano górę Kuk, gdyż w ubiegłym tygodniu główne wysiłki Włochów kierowały się na tę pozycyę. Atoli plan Cadorny w zupełności się nie nie udał. Z pięciu kolumn, które po zaprzestaniu ognia huraganowego uderzyły na linie austryackie, jedna tylko po kilku atakach zdołała się usadowić przed liniami. Dopiero przy pomocy świeżo sprowadzonych rezerw, powiodło się Włochom obsadzić pozycye austro-węgierskie na górze Kuk. Jest to dość skąpy rezultat walk w ciągu tygodnia; z całego frontu Włosi zdołali zająć jedynie odcinek na górze Kuk, szerokości na dwa kilometry. Natomiast nie zyskali na terenie frontu, ani na prawo ani na lewo; zaś pozycya ich na górze znajduje się pod silnym ogniem działawym. W obszarze pomiędzy Loga i Bodiez usiłowali w większych masach przeprawić się przez Soczę, ale i ten zamiar spełznął na niczem. Musieli znów pod ogniem artyleryi austryackiej opróżnić zyskany teren.

Również w centrum austryackich stanowisk nad Soczą toczyły się zacięte walki. Tu pozycye leżały tak blisko siebie, iż Włosi w ostatnich dwóch dniach usiłowali bez ognia działowego wtargnąć do rowów austryackich, jednakże obie te próby okupili ogromnemi stratami. — Natomiast na lewem skrzydle płaskowyżu Krasu, w stosunku do zaciętości walk koło Gorycyi, nie było zbyt wielkiej działalności bojowej. Wprawdzie i tu Włosi gromadzili w swych pozycyach oddziały, przeznaczone do ataku, atoli pod działaniem ognia dział austro-węgierskich nie zdołały się one rozwinąć.

W ciągu całego tygodnia Włochom poza zdobyciem małego odcinka frontu na górze Kuk, nie udało się nawet zachwiać pozycyj austro-węgierskich, nie mówiąc już o ich przełamaniu.

Od chwili pierwszego uderzenia ataki włoskie trwają bez przerwy, a odznaczają się niezwykłą zaciętością. Włosi szturmują nietylko w dzień, ale i w nocy, ale jak świadczą urzędowe komunikaty, poza drobnymi lokalnymi sukcesami nie zdołali osiągnąć zamierzonego celu, t. j. przełamać linii wojsk austro-węgierskich — pomimo nadzwyczajnych wysiłków i ofiar.

Szczególnie zażarta i uporczywa była w dniu 25. maja walka o wzgórze 652, które Włosi opanowali w godzinach wieczornych, ale w nocy, w walce wręcz, trwającej godzinami, zostali stamtąd z powrotem wyparci, pozostawiając setki zwłok.



Echa gospodarki rosyjskiej w Galicyi: Egzekucya skazanych na śmierć w sprawie o szpiegostwo



Nowa ofenzywa włoska: Pozycya austryackiej artyleryi w odcinku Isonza



Z frontów bojowych: Uszkodzony pociskiem rosyjskim dom w Brzeżanach.

A. K. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

17

— Ale może miał pan przekonanie, że znajduje się w mieszkaniu pani Clemmens? Może zdawało się panu, że rozpoznaje jej głos?

— Nie. — powtórzył po raz trzeci młody człowiek, siląc się zapanować nad ogarniającem go zdenerwowaniem.

— Ale przecież coś musiało panu dać wrażenie, że miss Darnell jest tam w pokoju z ciotką pana i tego „coś“ nie chce pan wyjawić, bojąc się jej zaszkodzić.

Z milczenia Morgana stary detektyw wywnioskował, że natrafił na punkt właściwy.

— Zdaje mi się jednak, że zaznaczyłem już panu, że miss Darnell znajdowała się wówczas o dwa kilometry blisko od Białego Domku, w willi profesora Darlinga!

— Przedstawiać kłamstwo jako prawdę, aby uzyskać potrzebne zeznania, to zdaje się przyzwyczajenie pana zawodu! — rzucił młody człowiek, uśmiechając się pogardliwie.

— Widzę, że trudno mi będzie pana przekonać. — odparł pan Gryce, niezrażony wcale zachowaniem się więźnia — Ale jednak, będzie pan zmuszony niedługo siłą faktów wyzbyć się swojego uporu. Ale niech mi pan jeszcze powie panie Morgan, w jakim pokoju znajdował się pan, kiedy odebrał pan to fałszywe wrażenie, które do tego stopnia wpłynęło na zdrowy sąd pana?

— Nie znajdowałem się w domu ciotki. — odparł niechętnie młody człowiek — Stałem na progu pokoju jadalnego, bo tak, jak to zeznałem panu Ferris, nie widziałem się z ciotką dnia tego.

— Doskonale! Widzę, że rzecz cała będzie bardziej prosta, niż przypuszczałem początkowo. Pan zapewnie nie zapomniał szczegółów swojej ucieczki?

— Co pan przez to chce powiedzieć?

— Czy przypomina pan sobie naprzykład, że w pewnej chwili, po przejściu furtki ogrodowej, schylił się pan, chcąc założyć brzeg swoich spodni?

— Tak! Ale czego to dowodzić może? — zapytał niecierpliwie Cyryl Morgan.

— Że miss Darnell nie pomyliła się, udzielając mi tego szczegółu.

— Miss Darnell?

— Tak. A czy przypomina pan sobie jeszcze, że zatrzymał się pan na terenie bagnistym, rozciągającym się za Białym Domkiem i spojrzał pan poza siebie.

— Ja spojrzałem poza siebie?

— Miss Darnell tak utrzymuje.

Cyryl Morgan zastanowił się.

— A jednak to prawda! — zawołał po chwili — Spojrzałem rzeczywiście poza siebie, aby dojrzeć godzinę na zegarze kościelnym. Tak. Przypominam sobie teraz ten szczegół dokładnie.

— Niósł pan płaszcz swój na lewej ręce.

— Zdaje mi się, że na prawej.

— Pan się napewno myli, panie Morgan. — zauważył z całą pewnością siebie pan Gryce.

— Poczekaj pan! Tak, ma pan słuszność! Miałem płaszcz na prawej ręce, przybywając w tamtą stronę, ale następnie schodząc z ganku, przerzuciłem go na lewą.

— Schodząc z ganku? — podchwycił stary detektyw. — Mówił pan przed chwilą, że znajdował się pan na progu jadalnego pokoju?

— Okrążyłem przedtem dom cały, aby wejść głównemi drzwiami tak, jak to było w moim zwyczaju. Nie wiem doprawdy skąd przyszła mi myśl następnie zajrzeć do drzwi jadalnego pokoju.

— I wówczas to usłyszał pan...

— To, co usłyszałem. — odparł sucho młody człowiek, sztywniejąc natychmiast.

Pan Gryce podszedł do niego i popatrzył mu prosto w oczy.

— No, panie Morgan, — rzekł serdecznie — czy pan dalej zamyśla trwać w tej nieufności względem mnie? Przychodzę przecież do pana w najlepszych zamiarach, trochę szczerości, a wszystko się wyjaśni na korzyść pana.

— Więc czego pan żąda odemnie? — zapytał Cyryl Morgan.

— Tylko prawdy. Jakim sposobem miss Darnell mogła mi tak drobiazgowo opisać najdrobniejsze gesty pana, gdyby nie śledziła pana spojrzeniem w tej chwili, tak, jak to utrzymuje?

— Nie umiem sobie właśnie tego wytłumaczyć, bo nie było jej w oknie jadalnego pokoju.

— Skąd pan o tem wiedzieć może?

— Byłbym ją przecież spostrzegł. A jednak — dodał młody człowiek z całą stanowczością w głosie — słyszałem, jak ciotka moja do niej mówiła i wymówiła jej nazwisko.

— Czyżby naprawdę? — zapytał z gorączkową ciekawością stary detektyw uderzony tem zeznaniem.

— W chwili, kiedy miałem już pochwycić za klamkę od drzwi, moja ciotka zawołała donośnie: „Nie! Nie! Miss Darnell! Nie pozwolę nigdy na to! Póki ja żyć będę nie może być mowy o tem małżeństwie!“

— Hm! hm! — mruknął pan Gryce — I to jest wszystko, co pan usłyszał, panie Morgan?

— Zdaje mi się, że to było wystarczającem. Zrozumiałem wówczas, że miss Darnell podjęła się interweniować w sprawie mojej, wobec pani Clemmens i tak, jak i ja, nie odniosła żadnego rezultatu. Fakt ten był dla mnie bardzo przykry. Nie chciałem już wobec tego widzieć się z ciotką, lękając się swojego zdenerwowania i wzruszenia.

— Jednakże, panie Morgan, miss Darnell nie znajdowała się w towarzystwie pani Clemmens.

— W takim razie ciotka moja musiała mówić do siebie samej, jak to było częstym jej zwyczajem. Nie dowodzi to jednak, aby się nie widziała z miss Darnell w godzinach porannych tego samego dnia. W ten sposób wyjaśnia się tajemnica pierścienia znalezionego w Białym Domku. — dodał młody człowiek z potęgującem się wzruszeniem — Biedna Beatrycza! Pomyśleć, że ją oskarżyłem niesłusznie, kiedy ona działała tylko z myślą o mnie!

Pan Gryce udał, że nie słyszy tych słów ostatnich.

— Panie Morgan — wyrzekł poważnie — pan mi w tej chwili bardzo uprościł zadanie, jakiego się podjąłem. Niech pan teraz będzie spokojny zupełnie i nie dręczy się przykremi myślami. Uwolnienie pana jest kwestyą dwóch dni najwyżej, a może nawet godzin.

Śmiertelna bladość pokryła twarz młodego człowieka.

— A więc miss Darnell? — wyszeptał z trudem, chwytając powietrze — Miss Darnell?

— Jest odsuniętą daleko od całej sprawy i nic jej grozić nie może. Niech tylko pan nie traci nadziei i ufności — wszystko zakończy się dobrze.

— Ale jak? Jak? — pytał gorączkowo Cyryl Morgan, przeszywając detektywa bacznem spojrzeniem.

— Wszystko się dobrze skończy. — powtórzył z naciskiem pan Gryce, nie wchodząc w bliższe wyjaśnienia swych słów. — Otrzyma pan wkrótce dobre wiadomości.

Mówiąc to, detektyw uścisnął serdecznie rękę więźnia i wyszedł z celi z twarzą jaśniejącą zadowoleniem.

Pierścień.

Pan Gryce wiedział od miss Darnell, że Cyryl Morgan nie wspomniał nigdy przed ciotką o projektowanem małżeństwie swojem z młodą dziewczyną. Wogóle nie zwierzał się nikomu z tą nadzieją i stosunek swój do miss Darnell trzymał w głębokiej tajemnicy.

Detektyw wiedział pozatem, że Beatrycza nie mogła tej wiadomości udzielić pani Clemmens, bo nie widziała się z nią dnia tego wcale.

W tych więc okolicznościach słowa pani Clemmens przedstawiały się panu Gryce w innem świetle i nie mogły mieć tego znaczenia, jakie w nich upatrywał Cyryl Morgan. Nie odnosiły się widocznie do niego, ale do innej osobistości, o której niedalekim związku z miss Darnell mówiono już głośno. Tą osobistością, znaną wszystkim w Sydney, był adwokat Ormond.

Zapewne nie było rzeczą łatwą do zrozumienia, dla jakiej przyczyny wdowa niechętnem okiem patrzeć mogła na ten związek. Był to więc punkt, który należało koniecznie zgłębić i rozjaśnić. Dotąd przedstawiała się tylko jedna rzecz pewna. Pani Clemmens czuła się widocznie w możności przeszkodzenia temu małżeństwu. Jawnem świadectwem tego były jej własne słowa: „Dopóki żyć będę — oznajmiła — nie dopuszczę do tego związku“!

Jeżeli pan Ormond był rzeczywiście winnym śmierci wdowy, należało w tym oporze jej szukać powodu, który doprowadził adwokata do popełnienia zbrodni.

„Jest tyle osób — pisała pani Clemmens w owym liście znalezionym w jej biurku — którym zależy na mojej śmierci“.

Tyle osób?

To znaczy przynajmniej trzy: Gordon Hildreth przedewszystkiem, następnie Cyryl Morgan... A ta trzecia osoba? Jedno tylko nazwisko nasuwało się na myśl staremu detektywowi. Nazwisko sławnego adwokata, którego koniec tragiczny tak bardzo przypominał ostatnie chwile nieszczęśliwej pani Clemmens. Pan Gryce zrobił raz jeszcze w myśli drobiazgowy przegląd wszystkich okoliczności tego tragicznego dramatu, który rozwinął się w Białym Domku. Starał się przypomnieć sobie wszystko, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu.

Zbrodnia zostaje spełnioną o godzinie dwunastej bez pięciu minut. W tej chwili, trzej mężczyźni, posądzeni kolejno o zamordowanie wdowy, znajdują się, nie wiedząc o sobie, o kilka kroków od fatalnego miejsca.

Pan Gordon Hildreth, tak, jak to wykazały zeznania świadków przed sądem, znajdował się w przedpokoju Białego Domku, rozmyślając głęboko nad przyszłością przedstawiającą mu się w najczarniejszych kolorach. W tym samym czasie włóczęga jakiś podchodzi do drzwi kuchennych, ale waha się z wejściem, bo dochodzi go odgłos sprzeczki dobiegający z poza drzwi. Nie zapukawszy więc nawet, odchodzi. Dla tej samej przyczyny Cyryl Morgan zatrzymuje się na progu pokoju jadalnego. I on słyszy głos podniesiony, wymawiający nazwisko miss Darnell.

Podczas tego Beatrycza z wysokości wieżyczki willi „Darling“ bada godzinę na zegarze kościelnym.

Drugi obraz: Gordon Hildreth trwa dalej w swoich smutnych rozmyślaniach, włóczęga odchodzi od domu ostrożnie i wychodzi z ogrodzenia, widziany przez wszystkich urzędników sądu zgromadzonych w ożywionej rozmowie przed Pałacem Sprawiedliwości. Wkońcu Morgan, pod silnem wrażeniem, iż wszystkie jego najdroższe nadzieje zniszczone zostały, ucieka spiesznie w stronę lasów.

Kilka chwil mija tymczasem Gordon Hildreth, znudzony już czekaniem, myśląc teraz tylko o pierwszym pociągu, odchodzącym do Nowego Jorku, oddala się również. Nikt jednak na niego nie zwraca uwagi.

Pani Clemmens pozostaje sama w Białym Domku. Czyni ostatnie przygotowania do śniadania, które wkrótce ma podać panu Ormond. Po chwili spostrzega, że zegar jej, wiszący w jadalnym pokoju opaźnia się cokolwiek, zamierza go więc uregulować. Myśl ta dla niej ma fatalne następstwa. Zanim jeszcze wdowa mogła dopełnić tej czynności, drzwi od pokoju otwierają się. Pan Ormond wchodzi do sali jadalnej. Jest jeszcze pod wrażeniem dziwnych słów nieznajomego garbusa, które ten w również fatalnej chwili przed nim wymówił. Pociągnięty nieprzepartą siłą i okolicznością nadzwyczajnie dla niego dogodną, chwyta polano, leżące koło kominka i wymierza śmiertelne uderzenie w kobietę, odwróconą plecami do niego, poczem wybiega z domu natychmiast, wołając donośnym głosem o ratunek.

W ten sposób zapewne musiała się rozegrać ta tragiczna scena. Jednakże uwaga wielkiej doniosłości nasunęła się natychmiast staremu detektywowi.

Przemyślana drozbiazgowo jego teorya nie wyjaśniała przecież faktu pierścienia, znalezionego w kilka minut później na miejscu zbrodni. Jakim sposobem przedmiot ten mógł się tu znaleźć. Kto go zgubił, czy podrzucił może? Pan Gryce zaczął się nad tą okolicznością zastanawiać głęboko. Bo ten fakt tak drobny na pozór, mógł przez brak wyjaśnienia, zniszczyć całe rozumowanie jego.

Z drugiej zaś strony, widoczne zdumienie pana Ormond zauważone, kiedy miss Darnell objawiła, że pierścionek ten jest jej własnością, mogło mieć większe znaczenie, niż to sądzono pierwotnie.

Czy należało przypuszczać, że pan Ormond miał go na palcu w chwili kiedy czynił zamach na swoją ofiarę? Ale jakim sposobem stačby się to mogło? Pan Gryce w intenzywnym wysiłku, skupił wszystkie władze swojego umysłu, aby odgadnąć tę dręczącą tajemnicę, lecz nie mógł w tym kierunku dojść do żadnej konkluzyi zadawalniającej go.

Cóż wiedziano wkońcu o tym pierścionku? W przeddzień zbrodni miss Beatrycza Darnell wsunęła go do kieszeni płaszcza swojego narzeczonego w ten sposób, że młody człowiek nie mogł sobie z tego zdać sprawy. Od tej chwili nikt już nie wiedział, co się stało z tym kompromitującym przedmiotem, znalezionym dopiero w wiadomych okolicznościach. Zapewne wypadł z kieszeni palta Cyryla Morgan, ale kiedy i w jakiem miejscu? Być może, że stało się to wówczas, kiedy młody człowiek przerzucił nagłym ruchem płaszcz swój z prawej ręki na lewą, kiedy zstępował ze schodków ganku Białego Domku? Szmer jego kroków na ścieżce posypanej żwirem, nie dozwolił mu spostrzedz

upadku pierścionka. Pan Ormond zaś, w chwil kilka później przechodząc tamtędy, mógł go ujrzeć, podnieść i machinalnie wsunąć na palec.

Wyjaśnienie to przedstawiało się dosyć normalnie. Pan Gryce więc postanowił skontrolować zaraz jego dokładność.

Powstał z fotelu, w którym dotąd siedział zamyślony i kazał przywołać Byrda.

Młody detektyw wkrótce stanął na jego wezwanie.

— Czy znajdował się pan — zapytał go pan Gryce — przed Pałacem Sprawiedliwości, kiedy pan Ormond przeszedł ulicę, aby udać się do mieszkania pani Clemmens?

— Tak, proszę pana.

— Czy przypadkiem nie śledził go pan wzrokiem?

— Tego sobie przypomnieć nie mogę.

— Czy mógłby mi pan jednak opisać jego zachowanie się, ruchy, kiedy już znajdował się w ogródku wdowy?

— Nie mam dokładnego o tem pojęcia. Zdaje mi się przecież, że śledziłem wzrokiem pana Ormond, tak, jak pan przypuszcza, ale nie zdaję sobie sprawy, aby uczynił jakikolwiek ruch anormalny.

Nie zrażając się, stary detektyw udał się do prokuratora i zadał mu to samo pytanie.

— Tak, tak, przypominam sobie doskonale — odparł pan Ferris — Ormond szedł krokiem żywym i lekkim, tak, jak zazwyczaj, z głową do góry wzniesioną, z wyprostowanemi ramionami. Jeden z nas nawet zauważył, jak dziwnie młodo wyglądał na swój wiek. Oh! Ale poczekaj pan! — zawołał pan Ferris, po krótkiej przerwie głosem lekko wzruszonym — Utrzymuje pan, panie Gryce, z całą stanowczością, że Ormond opuścił nas z obmyślanym już poprzednio zamiarem dokonania zbrodni? A więc opowiem panu fakt, który wykaże, jak to twierdzenie jest fałszywe i nieprawdopodobne.

— Oh! — szepnął zaintrygowany mocno stary detektyw — Cóż to takiego być może?

— Czy sądzi pan, że człowiek, noszący się z podobną myślą, zadałby sobie trud zatrzymania się, schylenia i podniesienia z ziemi przed gankiem domu jakiegoś przedmiotu bezwartościowego, szpilki zapewne lub guzika, albo czegoś podobnego.

Pan Gryce nie zdradził uczucia zadowolenia i tryumfu, jakie go ogarnęło po tych słowach, stwierdzających jego podejrzenie.

— Przypuśćmy — rzekł obojętnym głosem, że nie była to rzecz bezwartościowa, ale na przykład pierścień z brylantem.

— Pierścień z brylantem! — zawołał ze zdziwieniem pan Ferris — Co pan mówi, panie Gryce?

— Pierścienia tego — ciągnął dalej stary detektyw, niewzruszony tym okrzykiem — nie mogli upuścić w domu pani Clemmens ani pan Cyryl Morgan, ani miss Darnell, zważywszy, że ani jedno, ani drugie tam nie byli. Panie prokuratorze, czy wie pan, że tą obserwacyą rozjaśnił pan jedyny punkt ciemny, dręczący mój umysł.

— Nie rozumiem pana — odparł pan Ferris z coraz większem zdziwieniem patrząc na detektywa.

— Już teraz wszystkie okoliczności, towarzyszące zbrodni, są mi znane, bo wiem już odtąd, kto zgubił pierścień w domku pani Clemmens.

— Więc któż taki?

— Ten, który go podniósł z ziemi przed gankiem Białego Domku! — wyrzekł uroczyście pan Gryce.

— W dalszym więc ciągu oskarża pan pana Ormond?

— Nie wątpię już wcale w jego winę. Ostatnie wahania rozwiane zostały.

— Ależ, panie Gryce, zastanów się pan! — zawołał prokurator — Gdyby Ormond, będąc winnym, podjąłby się obrony pana Cyryla Morgan. Ten sam fakt...

— Ten fakt jest bez znaczenia. Dlaczegóżby pan Ormond miał się nie podjąć obrony tego młodego człowieka? Więcej, niż kto inny, mógł być pewnym jego niewinności. Pozatem mógł mieć nadzieję, że w razie wygranej otrzyma w nagrodę rękę miss Darnell, o którą się ubiegał, jak każdemu wiadomo.

— Przypuśćmy, że się pan nie myli, co do tego ostatniego punktu — rzekł nerwowo pan Ferris. Nie widzę jednak dotąd przyczyny, dla której człowiek, stojący na takiem stanowisku, jak Ormond, mógł popełnić podobną zbrodnię?

Pan Gryce potrząsnął znacząco głową.

— Punkt ten rozwiążemy jeszcze, panie prokuratorze. W tej chwili tak samo, jak pan, nie domyślam się tej przyczyny. Musiała być przecież ważną, jeżeli pod wpływem jej pan Ormond doszedł do tak krańcowego zapomnienia się. Dla odkrycia właśnie tej przyczyny prosiłem pana o odroczenie do dni ośmiu rozprawy

— Niech pan jednak nie zapomina, panie Gryce — rzekł z naciskiem pan Ferris — że jeżeli pan chce, abym przyjął bez zastrzeżeń pana hypotezy, to nie zadowolnię się pozornemi jakiemiś dowodami lub podejrzeniami. Nigdy nie uwierzę w winę takiego człowieka, jakim był Ormond, jeżeli nie zostanie mi wykazane jawnie i bezsprzecznie, że osoba pani Clemmens była przeszkodą do zrealizowania najgorętszych jego zamiarów. Ten dowód jedyny będzie mnie mógł przekonać, że Ormond jest rzeczywiście mordercą tej kobiety.

Detektyw wysłuchał tych słów z uwagą i skłonił się głęboko.

Wychodząc jednak z gabinetu prokuratora, miał na ustach dziwnie ironiczny uśmiech, który byłby bardzo zaniepokoił pana Ferris, gdyby go był dojrzał.

Slad.

Pan Gryce pomimo wszystko nie robił sobie żadnych iluzyi co do trudności zadania, jakie przedsięwziął dobrowolnie. Inną rzeczą było pewnym być, że pana Ormond popchnęła do zbrodni wyjątkowa jakaś okoliczność — a inną znowu doprowadzić pana Ferris do podzielenia tego przekonania. Tak, jak to sam orzekł prokurator, należało przedstawić mu fakt pewny niezbity, aby zmusić go do uwierzenia w winę pana Ormond, a wyjaśniający powód, dla którego człowiek powszechnie szanowany i ceniony stać się mógł zwykłym zbrodniarzem.

Stary detektyw długi czas spędził na wymyślaniu jakiegoś niezawodzącego planu. W końcu zawezwał przed siebie obydwóch swoich podwładnych, aby im przedstawić stan rzeczy.

— Jestem przekonany — rzekł im — że pani Clemmens zajmowała w życiu pana Ormond rolę ważniejszą, niż to przypuszczać mogą w Sydney. Należy więc dowiedzieć się przedewszystkiem, czy nie istniała w przeszłości tego człowieka tajemnica jakaś, wiadoma pani Clemmens. Mogła ona wyzyskać ją na swoją korzyść i dopuścić się szantażu względem pana Ormond, dręcząc go nim od lat wielu już może.

— Nie wydaje mi się to prawdopodobnem. — odparł Byrd — Pomiędzy osobami, które wypytywałem dyskretnie o pana Ormond, była z pewnością niejedna nie odnosząca się do niego z wielką sympatyą. Żadna z nich jednakże nie wyraziła się źle o nim i nie miała nic do zarzucenia jego prywatnemu życiu.

— Taki mógł być sąd mężczyzny, lecz kobiety?

— Podobno zachowywał się zawsze względem nich z szacunkiem i dyskrecyą.

— Zdaje mi się jednakże — zauważył Hickory — że wspomniano o przelotnej miłostce pana Ormond z jakąś Leonią Prott.

— Prott? Prott? Gdzież ja już słyszałem to nazwisko? — rzekł Byrd — Ah! Tak! Wiem już! W dniu zbrodni ktoś z publiczności, zgromadzonej przed Białym Domkiem, wspomniał, że pani Clemmens okazała się kiedyś bardzo bezwzględna i surowa dla młodej dziewczyny tego nazwiska właśnie.

— Hm! Hm! — mruknął pan Gryce — Pani Clemmens jak widzę nie bardzo sympatycznie odnosiła się do osób płci żeńskiej, któremi interesował się pan Ormond. Czyżby sama miała jakie widoki względem jego osoby?

— Kobieta w tym wieku? — zauważył z lekkim uśmiechem Byrd — To niemożliwe!

— Widziano już rzeczy bardziej niemożliwe pozornie — odparł stary detektyw — Czy nie wiecie panowie, w jakim czasie pani Clemmens osiedliła się w Sydney.

— Lat temu piętnaście może.

— A pan Ormond?

— Również w tym samym czasie.

— Hm! hm! Czy znali się oni przedtem? Musieli wam mieszkańcy Sydney dostarczyć informacyi w tym kierunku?

— Rzeczywiście. Jedni utrzymują, że się znali, drudzy, że nie. Wiem tylko jedną rzecz pewną.

— No, no?

— Że oboje pochodzili z Nebraski.

— Moi kochani — wyrzekł pan Gryce po chwili milczenia — tajemnica, której odkrycia szukamy, musi się odnosić do tego czasu. Musimy przedewszystkiem wybadać, skąd pochodziły pieniądze, które pani Clemmens składała każdego tygodnia do banku. To punkt, wierzcie mi, bardzo ważny. Czy nie zdaje się wam, że pieniądzmi temi pan Ormond opłacał milczenie wdowy, łącząc się z jakimś czynem jego z przeszłości?

Pan zapewne ma słuszność, panie Gryce — odparł Byrd. — W tej stronie powinniśmy przedewszystkiem czynić poszukiwania.

— Tak, tak, panie Byrd, o tem właśnie chciałem z wami pomówić. Najlepiej będzie, jeżeli udacie się dziś jeszcze do Nebraska. A właściwie pan tylko, panie Byrd. Hickory pozostanie tutaj. Ja zaś udam się do jedynej osoby, mogącej nam udzielić jakichś wyjaśnień, co do przeszłości pani Clemmens, to jest do panny Emilii Farman. Wiem, że była już przesłuchiwaną przez koronera, ale nie tracę nadziei odkrycia stosunków, które istniały między panią Clemmens a panem Ormond, teraz szczególniej, kiedy nasze śledztwo przybrało tę nową formę działania.

Detektywi, pożegnawszy prokuratora, opuścili jego gabinet, udając się każdy do wyznaczonej sobie czynności, pan Ferris zaś wkrótce potem udał się na dworzec, skąd odjechał pierwszym pociągiem do Uticy, gdzie mieszkała panna Farman z matką.

Zastał modystkę w swojej pracowni. Siedziała w towarzystwie paru robotnic, czuwając nad pracą im rozdzieloną.

Zdziwiła się bardzo na widok wchodzącego detektywa. Powstała szybko z krzesła i podeszła do niego z zaniepokoją i wzruszoną twarzą.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała, mierząc go podejrzliwem i badawczem spojrzeniem. — Zdaje mi się, że nie mam przyjemności znać pana.

— Chciałbym pomówić z panią chwil kilka na osobności — odparł niezrażony tem przyjęciem stary detektyw — o ile naturalnie tem nie przeszkadzam pani. Moje nazwisko może nie jest pani nieznanem. Jestem Gryce z Nowego Yorku.

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko — odpowiedziała panna Farman zimno.

Przeszła jednak do drugiego pokoju, prosząc detektywa za sobą.

— Skoro pani nie wie, kto jestem — rzekł pan Gryce — jestem zmuszony dać pani kilka niezbędnych wyjaśnień.

— Proszę pana — rzekła coraz więcej zdziwiona stara panna, spoglądając bacznie na gościa.

— Pani Clemmens z Sydney była pani krewną, nieprawdaż?

— Tak jest, panie, ale co ma pani Clemmens..

— Zaraz, zaraz... Przypuszczam, że jako krewna zamordowanej pragnęłaby pani, aby jej morderca został ukarany?

— Zapewne.

— Podzielam w zupełności pragnienie pani.

— Pan należy do policyi? — zapytała niechętnie panna Farman. Pan Gryce skłonił się zamiast odpowiedzi.

— Zasądzono więc pana Cyryla Morgan? — pytała dalej stara panna, ożywiając się cokolwiek.

— Jeszcze nie. Rozprawa została odroczoną na pewien czas z powodu nagłej śmierci jego obrońcy.

— Ale czego pan właściwie żąda odemnie?

— Dochodzę właśnie do tego — rzekł pan Gryce, wpatrując się uważnie w lampę, postawioną na stole. Pani wierzy w niewinność pana Cyryla Morgan?

— Wierzę.

— A więc i ja jestem absolutnie zdania pani.

— W takim razie pozwól pan uścisnąć sobie rękę — zawołała z nagłym wybuchem panna Farman.

— Z przyjemnością, — zaśmiał się pan Gryce, wyciągając do niej rękę.

— Ani przez chwilę nie sądziłem inaczej — oświadczyła jeszcze stara panna.

— Nie stoimy obecnie przed sądem — rzekł stary detektyw — możemy więc pomówić szczerze i otwarcie. Byłbym bardzo ciekawy wiedzieć, na czem pani opiera swoją opinię. Wiadomem musi być pani przecież, że dowody zebrane przeciw siostrzeńcowi pani Clemmens są dla niego bardzo obciążające.

— W takim razie — odparła miss Farman — jakże się stało, że pan w nie nie wierzy i uznaje jego niewinność?

— Miałem sposobność rozmówienia się z nim, jak również z miss Darnell i ta rozmowa upewniła mnie dostatecznie. Poza tem byłem obecnym śmierci pana Ormond, jego obrońcy.

Panna Farman ze zdziwieniem spojrzała na pana Gryce.

— Dlaczego mi pan mówi o panu Ormond? — zapytała. — W czemże śmierć jego wpłynąć mogła na los Cyryla Morgan?

— Ten punkt właśnie postaramy się rozjaśnić, jeżeli pani zechce szczerze odpowiedzieć na moje zapytania — odparł poważnie stary detektyw.

— Jestem na usługi pana — oświadczyła pani Farman.

— Doskonale. Czy może mi więc pani powiedzieć odkąd datuje się znajomość pani Clemmens z panem Ormond? Czy nie poznali się oni w jakiemś mieście na zachodzie?

(Dokończenie nastąpi).

Z tygodnia.

Legiony na przełomie.

Krakowski „Naprzód“ za warszawską „Chwilą“ podaje następujące szczegóły o obecnych stosunkach w obozie ćwiczeń wojska polskiego w Zambrowie (4. i 6. pułk):

„Z dwóch komendantów pułków, Niemców, jeden nie umie ani słowa po polsku i uczy się dopiero. Komendantami batalionów są Niemcy i Austryacy w stosunku 2:1. Komendantów kompanii jest 13 Niemców, 11 Polaków i 3 Austryaków. Kompanie liczą po 21 ludzi, do każdej kompanii przydzielono feldwebla Niemca, przeważnie nie umiejącego po polsku. Początkowo wszystkie napisy były w języku niemieckim, w służbie i nawet w komendzie używano języka niemieckiego, w tym też języku redagowane były rozkazy. Gdy żołnierze i oficerowie oparli się temu stanowczo i zaczęli odsyłać niemieckie rozkazy z adnotacyą „nie rozumiem“, zaczęto rozkazy wydawać po polsku i zmieniono napisy. — W obozie w Zegrzu oficerowie, stanąwszy do raportu, zażądali przeniesienia ich z powrotem do pułków.

Wobec tego 9. maja przybyli do Zegrza komendant Legionów, pułkownik Zieliński i szef sztabu podpułkownik Berbecki, którzy zapewnili, że 1) przysięga złożona będzie na ręce Rady Stanu lub rządu polskiego i tylko w te ręce; 2) oficerowie przydzieleni do kursów wyszkolenia przynależeć będą w dalszym ciągu do swoich pułków i tylko przez czas pobytu w obozach podlegać będą „Abt. Polnische Wehrmacht; 3) kurs trwać będzie określony czas i z chwilą nadejścia rekrutów oficerowie polscy otrzymają nad nimi komendę, oficerowie zaś niemieccy pozostaną w roli doradców; 4) językiem służbowym będzie tylko język polski. Wobec tych oświadczeń oficerowie zgodzili się zaczekać trzy dni z prośbami o powrót do pułków.

Dnia 10. maja komenda Legionów wydała następujący rozkaz:

„W związku z odejściem oficerów i żołnierzy pułków piechoty do obozów rekruckich oraz z nieporozumieniami, które miały miejsce w tych obozach u samego wstępu do instruktorskiej działalności, widzę się spowodowanym ogłosić następujące wyjaśnienia:

1) Oddziały instruktorskie (oficerowie i żołnierze), sformowane na rozkaz wyłącznie z mieszkańców ziem polskich, uwolnionych od panowania rosyjskiego, mają za zadanie wyszkolić rekruta i uczynić z niego doskonałego polskiego żołnierza; po spełnieniu swej roli instruktorzy, jako czasowo tylko z pułków odkomenderowani, wracają do swych macierzystych oddziałów. Rekruci, po gruntownem wykształceniu, uzupełniają stany dotychczasowych pułków piechoty 1—6, tworzą formacye uzupełniające dla tych pułków i z kolei stają się zaczątkiem dla pułków piechoty od 7 wzwyż.

2) Do czasu nadejścia rekruta żołnierze i oficerowie uzupełniają w obozach własną wiedzę wojskową, by swemu szczytnemu powołaniu najgodniej odpowiedzieć; każdą wolną chwilę wykorzystać należy dla poznania i przyswojenia sobie coraz to nowych dziedzin i zdobyczy rozległej nauki i techniki wojskowej.

3) Z chwilą przybycia rekruta, gdy obozy staną się szkołami wojskowemi armii polskiej, wszyscy oficerowie legionowi otrzymać mają dowództwo oddziałów, odpowiadające ich uzdolnieniu i kwalifikacyom fachowym, względnie dotychczas w polu piastowanym funkcyom. Komenda Legionów polskich nie była powołana do współpracy przy wydawaniu ostatnich rozkazów organizacyjnych dla obozów rekruckich, jak również przy układaniu listy oficerów, do obozów przeznaczonych.

Przy formowaniu nowych pułków i oddziałów uzupełniających, których komendy otrzymać mają wyłącznie oficerowie legionowi, obowiązującą będzie opinia komendy Legionów, ugruntowana na kwalifikacyi poszczególnych komend pułkowych; tyczy się to również obsady komend baonów, kompanii i plutonów.

Komenda Legionów, na prawach komendy korpusu, pozostanie komendą naczelną wszystkich zorganizowanych oddziałów aż do ich wyruszenia w pole i stać będzie na straży interesów wojska polskiego. Teraz bardziej, niż kiedykolwiek, potrzeba nam spokoju i żołnierskiego w zamiarach wytrwania, niezgrabne czasem postępowanie nie może osłabić waszej przy tworzeniu armii polskiej nieodzownej równowagi.

Zieliński, pułkownik.“

Marszałek koronny do wojska polskiego.

Wobec zaniepokojenia, jakie wywołały ostatnie zarządzenia władz niemieckich w sprawie wojska polskiego także w łonie Legionów, wydał Marszałek koronny następującą odezwę z datą 21. bm.:

„Do Wojska polskiego!

Krew, którą przelaliście, spełniła swoje szczytne zadanie, sprawa polska stała się ogólnie europejską i wszechświatową. Ojczyzna zapisze złotemi zgłoskami imiona nowych synów, którzy w obronie Jej praw polegli. Pamiętać Ona będzie o tych, którzy w boju za Nią zaszczytne blizny odnieśli, te prawdziwie narodowe ordery i o tych, którzy, dokoła sztandaru skupieni, do końca wytrwają, choćby w warunkach nad wszelki wyraz trudnych i ciężkich.

Tego sztandaru strzeże Tymczasowa Rada Stanu. Uważała ona zawsze sprawę Legionów za swoją własną sprawę i uzależniała dalsze swe istnienie od tego, jak sprawa wojska polskiego postawioną zostanie.

Na mocy tego i przepisów posłuszeństwa względem rządu narodowego, Rada Stanu, jako ciało rząd polski zastępujące i do tego rządu dążące, wzywa wojsko do spokoju i rozwagi; żąda przestrzegania najściślejszej karności i posłuchu względem ustanowionych komend jawnych i oświadcza:

1) że wojsko polskie złoży przysięgę jedynie według roty, zaakceptowanej przez Radę Stanu,

2) że podział na oddziały wojskowe i oddziały ćwiczeń rekrutów jest jedynie czasowym, a jednolite dla wojska mundury będą wykonane podług wzorów, przyjętych przez komisyę legionową, komendantów brygad, pułków i oddziałów,

3) że językiem urzędowym w wojsku polskiem jest i pozostanie jedynie język polski,

4) że wszelkie obawy o wcielenie kogokolwiek, wbrew jego woli do wojsk obcych, uważa za płonne.

Przyczem Rada Stanu zwraca na to uwagę, że dotychczasowa procedura karna austryacka, była również obcą z powodu braku polskiej wojskowej procedury karnej.

Rada Stanu stoi wogóle na stanowisku:

1) że z istoty swojej wojsko winno być zawsze podporą prawowitego rządu i nie może brać czynnego udziału w walce o prawo państwowe, bez wyraźnego rozkazu tegoż rządu,

2) że mieszanie się wojska do polityki jest oznaką zupełnego braku zaufania do rządu. Nawet w najpotężniejszych państwach bywa to przyczyną zaburzeń wewnętrznych, obcej interwencyi i rozkładu państwa.

Przeto wzywa Rada Stanu jeszcze raz do zachowania spokoju, równowagi i karności względem komend właściwych, z któremi pozostaje w ścisłym kontakcie, gdyż inaczej położenie jej byłoby trudnem, a wtrącanie się wojska do spraw, będących atrybutem rządu, poniża powagę Rady Stanu tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz kraju i wywołać może wprost nieobliczalne i dla tak umiłowanej przez nas Ojczyzny zgubne skutki.

Marszałek koronny Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego

Niemojowski mp.“

Kronika tygodniowa.

Ze sfer zwykle dobrze poinformowanych zwracają moją uwagę, iż zupełnie niesłuszną była wzmianka, zamieszczona w poprzedniej kronice, jakoby nasze sufrażystki daleko w tyle pozostawały za swemi amerykańskiemi koleżankami, które, na pierwszą wieść o ogłoszeniu mobilizacyi, masowo zgłosiły się pod sztandary i oddały pod komendę pana Roosevelta. I nasza płeć nadobna nie cofa się bynajmniej od wszelakich świadczeń wojennych, czego najlepszym dowodem jest cały zastęp pielęgniarek i samarytanek, nie mówiąc już o tem, iż każda z pań, o ile jest stanu wolnego, każdej chwili gotową jest oddać serce, rękę, posag i tę resztę wojownikowi, choćby nawet inwalidzie („byle zresztą był zdrowy“, tak wyczytałem niedawno w jednym anonsie).

A jest to chyba najważniejsze „świadczenie wojenne“, rozciąga się bowiem i na czas pokojowy, po ewentualnem zakończeniu wojny. Pozatem w biurach wojskowych różnego rodzaju pracuje spora liczba przedstawicielek rodzaju żeńskiego, a ciągle jeszcze czytamy, że ta lub owa komenda poszukuje siły kancelaryjnej, należącej do płci nadobnej, pod warunkiem przecież, aby należycie władała językiem... naturalnie niemieckim.

Z tego więc widać, że tak źle nie jest, jak się kronikarzowi zdawało, że szuka on plam na słońcu i chwali cudze, a zapomina o tem, co ma tuż obok siebie, pod bokiem.

Przyznaję się do winy i obiecuję na przyszłość poprawę, ale rzeczywiście przyzwyczaiłem się szukać „plam na słońcu“, zwłaszcza od tego czasu, odkąd ciągle czytam w pismach codziennych, że w ostatnich dniach wystąpiły one na nowo na tarczy słonecznej i to w olbrzymich rozmiarach. Astronomowie liczą się bardzo poważnie z ewentualnością, iż trzeba będzie oddać słońce do chemicznego wyprania, na razie staje temu na przeszkodzie brak świec, nafty i innych podobnych artykułów, służących do rozpraszania galicyjskich ciemności. Ponieważ zaś słońce jest dla nas nietylko źródłem światła, ale i ciepła (znów przypomina się mimowoli brak węgli, koksu, drzewa i t. d.), byłoby wskazanem, by ludzie, korzystając z obecnej ciepłej pory, zaopatrzyli się i „w ciepło“ co można uskutecznić bardzo łatwo, łapiąc gorące powietrze do flaszek, beczek i innych podobnych naczyń i przechowując na późniejsze czasy, zwłaszcza, że nie spotyka się tutaj na razie żadnych jeszcze ograniczeń. Ciepłe powietrze można bez kartek, uprawniających do jego poboru, zbierać w największych nawet ilościach, trzeba się jednak spieszyć, gdyż nikt nie wie, jakie nas w najbliższej przyszłości mogą czekać niespodzianki atmosferyczne, co ma stać w najściślejszym związku właśnie z owemi plamami na słońcu, które mi takiego zabiły klina. Że i tam w górze, nad nami, panuje także stan, jeśli nie wojenny, to, co najmniej, wyjątkowy, wnosić można z tego, iż w ubiegły piątek odbyło się na firmamencie niebieskim uroczyste spotkanie Saturna z księżycem, zapowiedziane urzędowo dla wiadomości małżonków, by mieli ważny powód, dla którego nie zdążyli na czas pod dach rodzinny. Wprawdzie ów zjazd nie polityczny, ale astronomiczny, według zapowiedzi i urzędowych komunikatów rozpoczynał się już popołudniu, koło godziny czwartej, ale każdy, nawet nie astronom, wie przecież, iż tego rodzaju zjawiska najlepiej obserwować „w stanie zamroczenia“, to jest, by mnie kto przypadkiem fałszywie nie zrozumiał, gdy już jest ciemno dokoła. Celem uświetnienia tego spotkania, postarano się, aby równocześnie oświetlono silniej obie gwiazdy konstellacyi Bliźniąt, które będą widoczne w stronie północnej Saturna, a mają za zadanie przypomnieć opieszałym, iż sporo ludzi wyginęło na wojnie, więc trzeba dołożyć starań, by zapełnić powstałe w ten sposób luki.

Choć astronomem z zawodu nie jestem, skorzystam ze sposobności i dzisiaj, to jest w piątek, wybieram się na obserwacye, zaopatrzony w wystawione na piśmie pozwolenie władzy domowej, a oczywiście i parasol, gdyż podobne nadzwyczajne zjawiska połączone są u nas zazwyczaj i z deszczem, a Zielone Święta, jak to wiemy z doświadczenia, bardzo lubią być także i mokre.

Co do plam słonecznych, to i im poświęciłem dość czasu i uwagi, ale, przyznam się szczerze, nic nie widziałem, wierzę więc święcie w to, co napisano, że największa grupa ma dwieście tysięcy kilometrów długości, więcej niż dwadzieścia pięć jąder, trzy wielkie półcienie, wykazuje nader interesujące zmiany. Druga grupa, zbliżająca się szybko ku zachodowi, ma aż czterdzieści dwa jądra, trzecia pojawiła się dopiero na wschodnim skraju tarczy słonecznej. Prócz tego wspomina astronom z *Kurgerka* jeszcze o dwu innych grupach, zmieniających się prawie w oczach obserwatora, i dodaje, o czem już i inni pisali, że plamy na słońcu mają oddziaływać bardzo silnie na magnetyzm ziemski, a przedewszystkiem na zmiany klimatyczne.

Jeśli więc złączymy „zjazd“ Saturna z księżycem (zjazdy wybitnych polityków na ziemi były zawsze zapowiedzią ważnych bardzo wydarzeń) z owemi plamami na słońcu, które mogą być nie czem innem, ale, dajmy na to, mobilizacyą, musimy przyjąć za pewne, że i w niebie coś się dzieje nadzwyczajnego, co może i powinno mieć pewien wpływ na stosunki ziemskie. Oby tylko dodatni!...

Gdybym był bodaj telepatą, przeczułbym może coś na odległość, ale, niestety, nim nie jestem. Zresztą i wrodzone telepatyczne zdolności nie zawsze mogą osiągnąć upragniony cel, jak to miało miejsce podczas jednego z seansów telepatycznych. Pewna dama, której myśli miał mistrz odgadnąć, powiedziała sobie, że pójdzie on pod miejską mleczarnię, stanie tam w ogonku i przyniesie jej pół funta masła deserowego (i to bez kartki tłuszczowej!...). Telepata, choć miał dobre medyum, długo natężał swój mózg, wreszcie ruszył ramionami i rzekł:

— Niestety!... Tego zrobić nie potrafię! To przechodzi me siły!...

Inna próba, jak słyszałem, udała się doskonale, choć, przyznam się, była może trochę niedyskretną. Komuś tam ubzdurało się, aby telepata zdjął pewnej niewieście pantofelki i położył je na stole. I tak się stało, ale proszę mi powiedzieć, coby to było, gdyby tak przypadkowo, co się często zdarza, zwłaszcza zaś dziś, gdy włóczka tak droga, pończoszka na pięcie zanadto bardzo... przeświecała? Czy poddającemu myśl byłoby przyjemnie, że naraził swą znajomą na złośliwe spojrzenia i uśmiechy zgromadzonych.?...

Dajmy jednak spokój astronomii, telepatyi i innym podobnym rzeczom, a zwróćmy się raczej do aprowizacyi, która nam bardziej powinna leżeć na sercu, a właściwie na żołądku. Jej to poświęcone było w całości ostatnie nadzwyczajne posiedzenie krakowskiej Rady miasta, w czasie którego, nie wiem z jakiego powodu, zacni ojcowie naszego grodu *oklaskami* przyjęli do wiadomości oświadczenie wiceprezydenta Federowicza, że „wskutek stanu obecnego rzeczy w kwestyi aprowizacyi gmina zrzuca z siebie wszelką i pełną odpowiedzialność za wszystko, co jeszcze z tego powodu wydarzyć się może w przyszłości“. Oklaski są objawem radości i zadowolenia (tak przynajmniej było dotąd!...), a chyba nie ma się powodu do zbytniej radości, jeśli się dowiadujemy, i to z trybuny prezydyalnej, że jest źle, a może być jeszcze gorzej. Przecież Rada miejska jest na to, by obmyślała środki zaradcze, a nie załamywała z rezygnacyą dłonie, wołając: „Jam temu nie winna!...“ Owszem, dodam od siebie, ponosisz jejmość winę, gdyż słowa same nie wystarczą, my żądamy czynu, którego frazesy, choćby najpiękniejsze nigdy nie zastąpią. Robi się dość, to prawda, ale to wszystko mało, robić się powinno jeszcze więcej, biorąc sobie przykład z innych, którzy byle jaką obietnicą się nie zadowolnią, ale żądają konkretnych faktów, mówiąc po naszemu: „Nóżki na stół!“...

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że mieliśmy dostać do sadzenia trzydzieści wagonów ziemniaków, nadeszły zaś aż cztery(!). dwadzieścia zaś zgniło w Grodkowicach z powodu braku siły pociągowej do transportu. Trzeba było wcześniej o tem powiedzieć i zachęcić Krakowian do zrobienia wycieczki, choćby nawet pieszej do Grodkowic, skąd każdy wróciłby z workiem ziemniaków na plecach. Jestem przekonany, że znalazłoby się bardzo wielu, którzy byliby usłuchali wezwania i ułatwili gminie przeniesienie owych zapasów, bo tylko to pewne, co mamy u siebie, a nie to, co nam obiecano łaskawie. Wszak celem aprowizacyi Krakowa w ziemniaki przeznaczono powiaty łańcucki i jarosławski, (nadmiaru ich tam niema!...), ale równocześnie powiedziano, że mają one tego samego artykułu spożywczego dostarczać wojsku, Morawskiej Ostrawie i Wiedniowi, a wyszło rozporządzenie, że z zapasów mają korzystać najpierw kolejarze, potem górnicy, a na końcu dopiero wielkie miasta, więc też nic dziwnego, że dla Krakowa nic potem nie zostaje.

Fatalnym błędem było także pozwolenie na wywóz artykułów spożywczych z twierdzy, gdy dowóz ich jest albo żaden, albo minimalny. Jak mi opowiadano, przez owych kilka dni wywieziono z Krakowa kilkadziesiąt wagonów najrozmaitszych towarów, które powinny były tutaj pozostać na pociechę naszych skurczonych żołądków. Co za ironia losu!... Obywatel rozszerzonego Krakowa ze skurczonym żołądkiem!...

Ktoś wspomniał, że owo cofnięcie zakazu wywozu było tylko próbą, dowcipnie obmyślaną i przeprowadzoną, by się przekonać, czy w Krakowie znajdują się zapasy i jakie. Jeśli tak było w rzeczywistości, to próba się udała, ale na tem najgorzej wyszli konsumenci, gdyż w tym okresie czasu niektóre artykuły spożywcze podskoczyły o kilka koron na kilogramie.

I cóż się pokazało?... Pokazało się, że gdzieś tam w głębi piwnic i magazynów kryją się u nas pokaźne zapasy. A że tak być musi, tego dowodem, iż w stronę Wiednia pojechały dwa całe wagony... cynamonu, a w ślad za nimi miał jechać ryż (Cwierciakiewiczowa radzi jeść ryż z cynamonem!), ale mu przeszkodzono. Zatrzymano także podobno cały wagon czekolady Sucharda, o której każdy kupiec twierdził, „że jej w Krakowie nie uświadczy!“... Tymczasem pokazało się, że jest i to w obfitej ilości!... Zarządzono wprawdzie w Krakowie i najbliższej okolicy spis niektórych zapasów żywności, ale bardzo wątpię, czy wyda on jakie pozytywne rezultaty. Spekulanci czekają na jeszcze gorsze czasy i wyciągają z magazynów, ale tylko po troszku, utrzymując, że to nabyte w ostatnich czasach. Zarabiają też na tem kolosalne sumy, nic więc dziwnego, iż w żywe oczy kpią sobie ze swej klienteli, narażonej na ich łaskę i niełaskę i, nie wyzysk, ale po prostu rozbój! A takich panów mamy dość, ci proszą Pana Boga, aby ta wojna trwała jeszcze lat kilka, przynajmniej zaś dotąd, dopóki każdy z nich nie będzie milionerem. Każdy z nich zastrzega się, że po wojnie da spokój handlowi i rozpocznie odpoczynek, ale ja temu nie wierzę. Natura żadnemu na to nie pozwoli, gdyż handel, a z nim i szwindel, zrósł się z każdym tak ściśle, iż nic ich rozłączyć nie potrafi. Chyba jedna śmierć. I po wojnie będą „robić interesy“ ale wówczas już nie jako kramarze, ale jako milionerzy, więc na większą skalę.

Na owem posiedzeniu, do którego zwołania skłoniły prezydyum miasta pogarszające się coraz bardziej stosunki, zwłaszcza, że niemal zupełnie pozbawieni jesteśmy dowozu, a wyżywić się musi niepomiernie wielką ilość ludności miejscowej i napływowej (bez której można się obejść bardzo dobrze!...) poruszono także i sprawę moratoryum, kończącego się z dniem trzydziestego czerwca. Postawiono wniosek, upoważniający prezydenta do poczynienia w Wiedniu odpowiednich kroków celem uzyskania przedłużenia moratoryum na dalsze sześć miesięcy. Ale i z tem będzie trudno dojść do końca, gdyż sfery miarodajne, ulegając presyi wiedeńskich przemysłowców i hurtowników, którzy, jak Galicya, okropności wojny nie zaznali, są zdania, że moratoryum może się już skończyć. Za tem są naturalnie i wszyscy adwokaci, gdyż dopiero wtedy zacznie się dla nich żniwo i. po trzech chudych latach, nastanie cała serya lat tłustych i to nawet bardzo tłustych... Mnie się zdaje, choć znów muszę się zastrzedz, że finansistą nie jestem i na żadnej giełdzie, prócz „czarnej“ koło kościółka św. Wojciecha, stosunków nie mam, iż specyalnie w Galicyi moratoryum powinno trwać przynajmniej ze trzy lata po ukończeniu wojny i zawarciu pokoju, dopóki nie nastaną jakie takie stosunki przypominające, bodaj na oko, dawne. przedwojenne. Galicya skutkiem wojny ucierpiała tyle, jak żaden inny kraj monarchii. Prawda, że są jednostki, które interesy porobiły i te mogą płacić (choć one właśnie najbardziej gardłują za przedłużeniem moratoryum!...), ogół przecież pozostaje pod znakiem dziurawego worka i dziadowskiej laski. Dużo jeszcze wody we Wiśle upłynie, a resztki Rudawy znikną może tymczasem z pod parku Jordana, zanim powrócimy *in statum quo ante*... Dziś natomiast o tem ani mowy!... *Ergo*, moratoryum w dalszym ciągu jest potrzebne.

Złemu zaradzić może tylko zawarcie pokoju (w tym wypadku oklaski Rady miejskiej byłyby zupełnie na miejscu), ale pod żadnym względem mizeryi, jaka panuje, nie zaradzą proponowane przez radcę miejskiego, Daszyńskiego, komisye, mające za zadanie dokładny spis żywności dla przeprowadzenia równomiernego rozdziału między wszystkich obywateli. Miało ich być pięćdziesiąt, każda z przydzielonym radcą miejskim i urzędnikiem magistratu, oraz dwu obywatelami. Towarzysz Ignacy radził, by to urządzić w ten sposób, by chrześcijanie rewidowali żydów, ci zaś chrześcijan, co znów, o ile mnie to dotyczy, uważam za niewłaściwe. Raczej zgodziłbym się może, by nawzajem składali sobie wizyty przedstawiciele różnych obozów politycznych, więc n. p. „Czasownik“ u „Reformata“, chrześcijańsko-społecznik u socyalisty, ludowiec u endeka i tak dalej i dalej. Przy tej sposobności mogliby sobie pogadać i o polityce, gdy natomiast dysputy na tle wyznaniowem nigdy nie prowadzą do celu, szczególniej zaś na takiej Krowodrzy, Czarnej Wsi lub Zwierzyńcu...

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Pierwszą w tej szaradzie znamy z geografii,
A w historyi także z nią się spotkać trafi,
Zaś *pierwsza i druga* pośród fal przebywa,
Nie straszą jej głębie, ni burz perspektywa,
Choć drobna postacią, wielką rozkosz daje,
Gdy w szalonem tempie mknie w nieznane kraje.
Własna *trzecia-czwarta* winna być tak droga,
Jak żadne z dóbr ziemskich, danych nam przez Boga,
W niej dobrobyt ludzki i bogactwo kraju,
Życie przy tej swojej daje przedsmak raju
Całość pięknym Włochom powstanie zawdzięcza,
A stwarza ją ludzka fantazya młodzieńcza,
Wielkich mistrzów sztuka za swój wzór ją wzięła,
By z tych pierwowzorów tworzyć arcydzieła.

Grzebieniówka.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię współczesnego polskiego rzeźbiarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeźbiarz polski 2. Imię męskie. 3. Dopływ Dniepru. 4. Rozbójnik morski. 5. Dzika kaczka. 6. Stan zachwycenia. 7. Malarz polski. S Miasto w Królestwie Polskiem.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich samogłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

- ie - - - - ę - - ie - ie - - o - - i - o - e - ie, a - e - o - n - - ia - -

Kwadrat magiczny.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a a d
d g m m
n n r r

Znaczenie wyrazów: 1. Opad atmosferyczny. 2. Uszkodzenie ciała. 3. Kolonia francuska w Azyi. 4. Inaczej pani.

Łamigłówka.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwę kościelnego święta.

E – a
o — a
m — ś
s – n
a – y
D — n
i — a
o — a
e — a
w – s
O — a
k — r
l — u
I — n
l – s
M — n

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Źle izbo! Szatan tli łacno.

Trójkąt magiczny.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego angielskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Inaczej wysłannik. 3. Imię męskie. 4. Inaczej opowiadanie. 5. Proces chemiczny. 6. Imię męskie 7. Wyspa grecka (jedna z Cyklad). 8 Rzeka w Europie. 9. Gwóźdź. 10. Nazwa karty. 11. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - oi - ię, - a - - y - - - ię - o - e - - o - y.
2) - - a - - a, - o - - u - o - a - e.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

MARCIN TOHA
WANDA IRENA O. O. ROMPP.
MIRON MIECZ. T. REIS.
RUPERT I. I. BEMANEG
AMBROŻY OSKAR J STASZEWSKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 20.

Szarada: Konstantynopol.

Łamigłówka:
S m o ł a
k e f i r
B i e c z
D a n i a
K a z a ń
g r y k a
e i w u n
f l a g a

Zadanie do przestawienia: Dobra i pozłota kiedy niema złota

Okienko:
P a l a c k y
a m u
l p c
a m p u ł k a
c ł t
k k a
y n c a t a u

Logogryf:
w
b y k
f a s o n
d i o p t e r
a n i o ł
b a s
ń
o s a
N a k ł o
B o l i w i a
a r s e n
e t a
a
g n u
d z i e ń
C z e s ł a w
g o ł ą b
B a r
w

Zadanie do przestawienia: Głaszcz ty kotowi skórę, a on ogon w górę.

Zadanie do przestawienia: Czarna krowa białe mleko daje.

Logogryf:
G ą b k a
d u d e k
m e t a l
j e l e ń
N e r o n
f a r b a
m i e d ź
g r z y b
g u n i a

Zadanie na rozsypane litery: Kruk krukowi oka nie wykole.

Bilety wizytowe: Sielankopisarz. Obrońca wojskowy. Nuncyusz papieski. Wicekonsul. Drzeworytownik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdalska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, A. Kęs Kraków, S Blachaczek Sobniów, R. Książek Miejsce Piastowe, K. Oślizło Pritzerbe, G i J. Scheitel Stryj, A. Groll Styj, E. Winter Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Skowroński Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Sandkoblersy & Lipi ... Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego